

KRAJOBRAZY SŁOWA



POEZJA I PROZA
LAUREATÓW
KONKURSU LITERACKIEGO

KRAJOBRAZY SŁOWA

XXII Konkurs Literacki, Kędzierzyn-Koźle 2015

KRAJOBRAZY SŁOWA

Poezja i proza laureatów
konkursu literackiego



MIEJSKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA



URZĄD MIASTA KĘDZIERZYN-KOŹLE

Kędzierzyn-Koźle 2015

Serdecznie dziękujemy naszym darczyńcom za wierność,
życzliwość i finansowe wsparcie konkursu:

- **„ELBOR” Wielobranżowy Zakład Elektryczno-Budowlany
w Kędzierzynie-Koźlu**
- **Miejskie Wodociągi i Kanalizacja w Kędzierzynie-Koźlu Sp. z o.o.**
 - **Petrochemia-Błachownia S.A. Spółka Grupy
Wanhua-BorsodChem.**

Projekt okładki
Leszek Ołdak

Opracowanie redakcyjne
Agnieszka Jakutajć-Zalewska

Korekta
Agnieszka Jakutajć-Zalewska

ISBN 978-83-941650-0-0



Z DZIENNIKA JURORA

Myślałem, że w tym roku w prozie tylko dosłowność. Przejmujący, chwilami przerażający, realizm. Tylko nie wiem, czy pasujący do niedysiejszych epitetów. Przypominam, że przed laty było coś takiego, jak „mały realizm”. Ten dzisiejszy może nie jest o wiele większy, ale zdecydowanie sięga dalej i głębiej, niż tylko pod przysłowiową budkę z piwem. Kojarzy mi się z panoramą w okrucinach, epopeją we fragmentach. Epopeją dotyczącą wielkiej zmiany cywilizacyjnej przeżywanej przez Polaków. Przede wszystkim chodzi o opuszczenie ciepłego gniazdko, jakie zafundował nam w iluzorycznej (jak się okazało) formie tak zwany „realny socjalizm”. Rozprysnięte złudzenia – to baśno towarzyszyło mi przy lekturze niektórych opowiadań. Złudzenia, co do trwałości, pewności, stabilności i poczucia bezpieczeństwa. Stąd tak wiele scen, sytuacji i obrazków, które dotyczą braku oparcia w środowisku, rodzinie, prawie, społeczeństwie, w tradycji, a nawet religii. Bezdomni, bezrobotni, bezradni, rozchwiani emocjonalnie, uzależnieni, nieradzący sobie z nowymi uwarunkowaniami, niepewni swego losu, chorujący na rozmaite dolegliwości ciała i ducha, wszyscy jakby skazani na różnie rozumianą poniewierkę – to najczęściej spotykani bohaterowie nadesłanej w tym roku prozy. Jury szukało zatem czegoś więcej. Czegoś takiego, co przełamywało pesymizm poznawczy, wchodząc głębiej pod reportażową powierzchnię, operując poetyckim skrótem, rozbudowanym symbolem, nieprostackim humorem, groteską bądź szerszą perspektywą historyczną. Myśląc o tej gnębiącej mnie w tym roku dosłowności, cieszyłem się z odkryć. Tak się szczęśliwie złożyło, że również zauważonych przez pozostałych jurorów.

W poezji inaczej rozłożyły się akcenty. I w zakresie przedstawianych światów, szukanych i gubionych języków, jak i w przestrzeni moich, czytelniczych, a potem jurorskich, oczekiwań. Pesymizm, melancholia, nostalgia i przygnębienie towarzyszą poezji od zawsze. Ten

ton nigdy nie jest zaskoczeniem. Zmieniają się tylko wykorzystywane przez adeptów matryce i kalki. Obecność tych ostatnich jest szczególnie dotkliwa na konkursach. Wysyłającym wydaje się, że zwycięstwo wiąże się ściśle z umiejętnym podpatrzeniem dominującego w danym sezonie stylu, czy też szerzej ujmując – dyskursu. Jak mi się wydaje, zarówno „sezon” oraz „dyskurs” zostały w tym roku w Kędzierzynie-Koźlu wystane do diabła. Jurorzy otworzyli się na coś mniej wziętego i modnego, na języki i gesty biorące swą siłę z peryferyjności i autsajderstwa. Wygrało to, co można określić mianem „poszukującego” bądź „nieoczywistego”. Moim zdaniem, właśnie od tego są dobre konkursy literackie. Od werdyktów pod prąd. Od przeciwstawiania się poetyckiej łatwiznie i sezonowej modzie.

Karol Maliszewski

KRZYSZTOF BĄK
godło: „Pan Koguto”

Nagroda Prezydenta Miasta
Kędzierzyna-Koźła



KRZYSZTOF BĄK – urodzony 25 lipca 1980 roku w Katowicach. Dziennikarz; prywatnie – ojciec dziewięcioletniej Zosi i sześciolatniego Tymoteusza. Laureat XXI edycji „rajobrazów Słowa” (II nagroda w dziedzinie prozy).

KEBAB DOLOROSA

W pospiesznym 820 znów słyszę życie. W piętnastoletnich ustach brzmi ono tak, że facet z niemieckiego jest głupi, a ta różowa pizda od wuefu pojebana, bo Jacek chciał pogadać z kumplem, a ona mu kazała zabrać piłkę. I nie zabrał jej, i usiadł, i zaczął młodo-męskie opowieści, i uwagę mu w dziennik wpisała, głupia cipa, bo on z tym ziomem dawno nie gadał.

A sprawy mogli mieć ważne.

– Bo Jacek – ciągną piętnastoletnie usta – od dwóch miesięcy chodzi z Moniką, a ta, ale to tak między nami – zaklinają piętnastoletnie usta, choć słyszy to pół autobusu, a już na pewno ją słyszę, więc czuję, że między nami, to między nimi dwoma, piętnastoletnimi ustami i mną – a ta... – dla podkreślenia wagi prostych słów piętnastolatka pochyla się nad swymi siedzącymi znajomkami – ...zdradza go od miesiąca.

Wiec może o tym chciał porozmawiać Jacek na gimnastycznej ławce z kolegą z którym dawno nie rozmawiał? Może zdradza go z nim, a może z kimkolwiek, bo to przecież proste jak otwarcie drzwi w autobusie. Jeżeli z nim, to – myślę sobie – jeszcze nieraz się nagadają. O Monice, o tym, że zdradzała prawdopodobnie nie tylko Jacka, ale i tego z którym Jacek długo nie rozmawiał. Wtedy, mam nadzieję, uspokoi ich myśl, że co tam jedna piętnastolatka, że przed nimi jeszcze kilka, a może kilkanaście, a jak się bardzo postarają, to i kilkaset piętnastolatek, dwudziestolatek, trzydziestolatek, a potem czterdziesto- i pięćdziesięciolatek, i jeszcze wiele wielolatek, wszak wdów więcej niż wdowców, a panien więcej niż kawalerów, bo to nie prawda, że my jak te połówki jabłka czy pomarańczy, co tylko czekają, by się złączyć i idealnie pasować. Raczej jak puzzle w kartonie z tysiącem elementów, gdy jeden za nic nie chce pasować do drugiego, a drugi do trzeciego i najbardziej pasują do siebie te ostatnie, najdłużej samotnie leżące na stole, gdy już po wielu próbach, dziesiątkach, setkach,

a nawet tysiącach prób, udało się połączyć inne, tak te ostatnie, nagle, jakby tylko na to czekając, zaczynają wskakiwać i leżeć tak idealnie, że aż żal, aż szkoda po mozolnym ich ułożeniu, ruchem jednym albo dwoma zgarnąć do pudła i zburzyć, przekreślić tę godzinę, popołudnie, wieczór, miast wpatrywać się w obraz i cieszyć, że się udało. Burzenie i układanie jest takie zwyczajne. Na początku był chaos. A potem wszystko zaczęło się układać. Jakoś układać.

Im też się ułoży. Może jeszcze nie teraz, nie na tej ławce, bo na niej jeszcze nie wiedzą, że będą musieli się ze sobą jeszcze nieraz nagadać o sprawach powszednich, ale fundamentalnych, że Monika zdradziła Jacka. Choć kolega Jacka – jeśli to z nim zdradziła Jacka Monika, może to przeczuwać i unikać tych rozmów. Może dlatego tak długo ze sobą nie rozmawiali? Jeszcze tego nie wiedzą, że będą musieli nieraz się ze sobą nagadać i sobie nawzajem wygarnąć, wypluć, wycharczyć, wydyszeć, wykrzyczeć prosto w twarz: ty chuju! A potem ten, co krzyknie w rozpacz, poczuje dumę, że jednak był pierwszy. I później, ten chuj ucieszy się, że był lepszy, bo drugi i równoległy. A jeszcze później w swych rozszerzonych żrenicach, poczuje pyłu ukłucie i wyrośnię w nim gąszcz strachu i tego gąszczy nie da się już wyciąć, że skoro mogła Jacka, to i jego może.

Ale Moniki już wtedy nie będzie i nieważne gdzie będzie, bo wtedy już obaj będą wiedzieli, że zawód i zdrada są siostrami syjamskimi każdej więzi. I nie ma zdrady bez więzi, tak jak nie ma zawodu bez czekania na tę więź i nie ma rozczarowania bez więzi, bo więź rodzi rozczarowanie. Nawet ta najmocniejsza, nierozzerwalna – samego z sobą – prędzej czy później wyda owoc rozczarowania.

I Monika będzie rozczarowana, i Jacek będzie rozczarowany, piętnastoletnie usta już teraz są rozczarowanie, że ta różowa pizda od wuefu Jackowi uwagę wpisała i nawet różowa od wuefu jest rozczarowana, nie pierwszy i ostatni raz, że Jacek zamiast piłki wołał rozmowę z ziomalem. I choć wielokrotnie była rozczarowana i zawiedziona o wiele bardziej i nie raz o sobie myślała, że jest pizdą, choć nigdy nie myślała, że różową, to i teraz jest rozczarowana, że Jacek wołał rozmawiać niż rzucać piłką, choć – gdyby się przez chwilę, w czasie wpisywania Jackowi uwagi, zastanowiła – to wiedziałaby, że regularnie bywała rozczarowana, tym że rzucali ją po wielokroć częściej niż chcieli z nią rozmawiać.

Nie znam nikogo, choć przecież nie znam wszystkich, nie znam nikogo kto na początku nie chciał rozmawiać i nie był rozczarowany, że niemożliwym wypowiedzieć wszystkie cisnące się na usta słowa, a te nie wypowiedziane, choć nie tak prędko, to jednak systematycznie, ulatują. I tkwią gdzieś tam w obłokach słów nienarodzonych, myśli nieusłyszanych, schowanych na gorsze dni, na bezsenne noce. Łatwiej powiedzieć do siebie, niż do kogoś, ale i sobie pewnych rzeczy lepiej nie mówić.

Żałuję, że Jacek dostał uwagę, ale tego nie mówię i żałuję, że nie mogłem go pocieszyć. – Kiedyś – układałam w myślach pociechę – miał rozmowy będziesz wolał piłkę i będziesz uciekał od rozmowy do piłki, do wódki, do dziwki, do internetu, do koleżanki z pracy, do kumpla z podwórka i będziecie razem sączyć to rozczarowanie milcząc. Ale różowa tego nie wie, a i ja nie mam pewności. Jedyne czego jestem pewien to rozczarowanie. Jedno, drugie, kolejne. Rzędy i szeregi rozczarowań.

I jeszcze mocniej czuję się rozczarowany, że to już końcowy przystanek, że nieprzymykające się nastoletnie wargi, wciąż produkują kolejne słowa, których jestem ciekaw i których nigdy już nie usłyszę. Autobus hamuje a ciekawość maleje, gdy stojąc przy drzwiach, czuję pisk piętnastoletnich ust na swoich plecach, że jak ten się spóźni, to spierdoli jej kolejny i będzie musiała czekać godzinę na następnym.

Puszczam ją przodem, bo ani nie czekam na kolejny, ani godzina mnie nie zbawi. Puszczam ją przodem wiedząc, że spóźniający się autobus, choć teraz wydaje jej się najgorszym, co może ją spotkać, będzie mniej dotkliwy niż spóźniający się okres. I nawet ta nieplanowana godzina na grudniowym przystanku, choćby była najzimniejszą godziną w jej życiu, to i tak będzie krótsza niż czeka – nie na spóźnioną miesiączkę. Gorączka i katar przejdą po kilku dniach, na nieplanowaną ciężę choruje się całe życie.

Puszczam więc ją przodem, puszczam przodem nawet jej szkolnych kompanów, wszystkich przepuszczam, bo mam godzinę i dwie. A nawet dziesięć. Albo i więcej. Cały czas mam, choć pewno kiedyś on się skończy. Ale nie skończy się dziś, ani za godzinę, ani za dwie, może wieczorem, a może rano? Dlatego puszczam ją przodem i patrzę jak biegnie, a tanie adidas przycinają kolejne kałuże w których odbija się jej radość, że znów miała szczęście, że zdążyła i nie musiała czekać.

Odprowadzam ją wzrokiem wiedząc, że może i Jacek ma szczęście, że te piętnastoletnie usta tak dobrze o nim mówią, bo dziś mało kto dobrze o kimś mówi, a czasem nawet mało kto mówi i ludzie ze sobą mało mówią, a jak mówią, to mówią tak mało, jak tylko mało można powiedzieć nie milcząc.

I milczą, bo nie wiedzą co powiedzieć, albo milczą, bo nie chcą czegoś powiedzieć. Albo wszystko już powiedzieli, albo mówili im prawdę starą jak te kamienice naprzeciw bytomskiego dworca, a może starszą niż najstarszy, poczerniały kamień na pobliskiej *Mater Dolorosa*, że lepiej milczeć niż powiedzieć za dużo.

Milcząc wpatruję się w kamienice stojące jak stały, stare tak, że powinny się zawalić, bo tu wałą się nawet te, które nie powinny się zawalić. I życie w Bytomiu, jak gdzie indziej, niejednemu się zawaliło.

I niejeden wstał, i kamień z kamienia zrzucił, a potem kolejny kamień i jeszcze jeden, aż sterta gruzu przestała być stertą gruzu i znów tam mógł mieszkać i żyć, i milczeć, i w tym milczeniu rozgryzać na kaski swe rozczarowanie albo słodzić je jak makowiec rodzynekami. Rodzynki najdroższe są przed świętami.

Nie mam już siły myśleć, co było tu wcześniej. Czy gruz, czy drewniana chata, a co przed chatą? Czy pole, czy łąka, czy las, bo jak był gruz albo drewniana chata, albo pole, łąka lub las, to mnie tu nie było. I później też mnie nie będzie, bo idę już i nie wiem czy wrócę, a jeżeli wrócę, to nie wiem czy będę mógł spojrzeć jeszcze raz na te stare kamienice. Skoro jeszcze się nie zawaliły, to może nie zawała się nim wrócę? Prawdopodobnie nie wrócę, bo rzadko jeżdżę autobusem, już dawno nim nie jechałem, a życie zza szyb samochodu wygląda inaczej. W aucie słychać muzykę, powtarzające się akordy silnika, szum powietrza i jęki telefonów. Tylko życia takiego nie słychać.

Ale dziś jechałem autobusem i słyszałem życie z piętnastoletnich ust, a teraz słucham o innym życiu i innym rozczarowaniu, i drżę nie tylko dlatego, że w kominku dopiero co napalone, bo opowieść snuje się jak ten makaron z talerza, tylko, że jest jeszcze bardziej zawinięta i poskręcana niż opowiastka o tym, że Monika zdradza Jacka. I z lekkim patrzę w talerz, bo makaron się skończył, ale historia nie.

Więc słucham, dzieląc ją na akapity łykami wystudzonej kawy, zerkając na kartę dań, w której aż roi się od literówek. I myślę sobie, że tych wszystkich pomyłek można by było uniknąć, gdyby drugi raz ją

przeczytać nim ożywi się drukarkę i jeszcze raz przeczytać nim rozgrzeje się laminarkę.

Pomyłki pokrytej laminatem nie da się wymazać, oprawioną plastikiem kartę trudniej wyrzucić. Laminat został położony, więc karta leży na stole, a ja wstaję od stołu, by – spuszczaając po chwili wodę w toalecie – zmyć z siebie ciężar wiszących nad stołem słów, że nie ma złych dni, są tylko źle dobrane leki.

I wracam do stołu przykrytego laminowaną kartą pełną literówek z pewnością, że z tej karty będzie mógł zamówić każdy, kogo stopa kiedykolwiek postanie w Bytomiu, jeśli ten się wcześniej nie zawali, bo przecież wszystko się wali. Troja się zawaliła, Rzym upadł, raz, drugi i trzeci Rzesza miała być wieczna i – za każdym razem – przedstawiała być wieczna, dynastie wymierały i wszyscy ludzie umierali, ale na początku było słowo i jedyne, co zostawało to opowiadane z pokolenia na pokolenia historie, spisywane na pergaminach sentencje, wersy składne i zupełnie nieładne, odbijane na powielaczach prawdy i oficjalnie drukowane kłamstwa, wspomnienia pensjonarek i zeznania świadków, wyrte w dworcowych kiblach wyznania i niezabrane do grobów tajemnice. I Bytom też się pewno zawali i nie mam w tym momencie pewności, czy powstanie jakiś Nowszy Bytom albo Inny Bytom. Ten Bytom i każdy inny Bytom jest mi równie obojętny i odległy jak przeszły Bytom.

Choć nie są mi obojętne literówki i czuję rozczarowanie, że popełnione znów zostały, to gaszę to uczucie, bo to nie moje błędy, a swoich żałować będę gdzie indziej i kiedy indziej. Gaszę je, bo zamówiłem już wszystko co chciałem zamówić i nawet zdążyłem to zjeść i wypić, więc siadam syty i spokojny, że autorowi każdy wybaczy tę sruówkę, piertuszkę i cherbatę. Grafik – mówi kelnerka – to analfabeta. Co z tego, myślę, w swym analfabetyzmie nie jest ani lepszy ani gorszy od spożywających owoce jego analfabetyzmu nie-analfabetów. I ja, i moja chwilowa towarzyszką, i kelnerka, i wszyscy połykacze zasmażanych brokułów z sąsiedniego stolika jesteśmy życiowymi analfabetami.

I liczna ta nasza rodzina życiowych analfabetów. Nie dość, że analfabetyzm życiowy odziedziczyliśmy po rodzicach, a oni wcześniej też go odziedziczyli, to głusi na ich ukradkiem wykładane przestrogi i nauki, gdy już udało im się z okowów dziedzictwa wyzwolić, wrosliśmy w życiowy analfabetyzm równie mocno i o wiele głupiej niż oni, mają-

cy za sobą o jedno pokolenie życiowych analfabetów mniej. Pomyłkę w karcie dań, choć zrywana folia zniszczy papier, grafikowi prawie każdy wybaczy, ale w życiu są błędy niewybaczalne. Życie to pomyłka laminowana złotem i dębowym wiekiem.

Wychodząc proszę, by nie wydawać reszty z pięćdziesięciozłotowego banknotu i idziemy. I jeszcze przez chwilę idziemy razem, a potem idę już sam przez to niezupełnie nieznane mi miejsce, powtarzając w myśli wskazówki. Choć milczę, to mówię, bo przecież tylko słowa zostają i mijam stare bytomskie kamienice zaglądając to w jedno, to w drugie okno wspomnienia, próbując dostrzec w nich jakieś światło. Nawet z niezupełnie nieznanego Bytomia mam przecież jakieś wspomnienia.

Zewsząd mam jakieś wspomnienia. Byłem tu i tam, znam miejsca w których byłem, bo pamiętam ludzi u których byłem. I jest mi obojętna historia miejsc, ale nie są mi obojętne historie z tych miejsc. Nie wzrusza mnie pomnik, ale wzrusza brama w której Marta pierwszy raz na próbę całowała się z dziewczynami. Nie przygniata mnie gmach sądu, ale ciąży orzeczona w nim wina: Adam winny rozpadu małżeństwa. Gotycki kościół mnie nie zachwyca, ale uśmiecham się, bo Adam i Ewa byli w nim choć przez chwilę szczęśliwi. Najbardziej wypielegnowany park mnie nie zachwyca, ale lubię wspominać ciepło dotkniętych w nim piersi.

Nawet, jeżeli zapomnę imiona, to nie zapomnę tego przyspieszonego pulsu, bo mam te stare, zniszczone, pokryte szarym pyłem tynki w płucach, a najczystsze krakowskie elewacje, najbardziej wypolerowane warszawskie szkła strzepuję jednym ruchem rzęsy, z tej prostej przyczyny, że nad leniwą Wisłą, choć wino smakuje tam wybornie, nie począł się nikt mi istotny, a w Hindenburg Oberschlesien, Mysłowicz, Ratibor, Beuthen, Gleiwitz poczęli się wszyscy, którzy coś dla mnie znaczą, choć bywało, że żyli i umierali gdzie indziej.

Wieczór jest ciepły, mimo że wieje, a stare ulice dogrzewa czerwona bombka z żółtą świecą i biała choinka, i żółta bombka z zieloną świecą oraz czerwona choinka. Wszystko to ma znaczenie tylko chwilowe. Jutro będzie cieplej lub zimniej, gdzie indziej będzie zimniej lub cieplej i tam gdzie będę, choinki będą inne, bombki będą inne, a koniec końców – wszystkie znikną, zniknie ich wspomnienie i znikną nawet pieniądze za bombki, bo przecież pieniędzy już nie ma, są tylko cyfry w komputerach, a one jeszcze szybciej mogą zniknąć. Wszystko może

zniknąć i tracę pewność, czy słowa też nie znikną, gdy nie będzie już komu ich powtórzyć.

Tramwaje, jeden za drugim, powtarzają się, więc wsiałam do kolejnego, kupuję u kierowcy najdroższy bilet, nie myśląc, że mogłem kupić tańszy w automacie, w kiosku na przystanku. Jeszcze się nie zastanawiam, kiedy straciłem tę zdolność krążenia po miejskiej tkan- ce, za którym zasunięciem szyby w samochodzie przestała mi być potrzebna i dlaczego tak szybko zapomniałem o czymś, co nie jest już potrzebne?

Trzęsę się na szynach, ale nie wyciągam parzącej książki z kieszeni. Słowa z niej mogę poznać później, słów z tego tramwaju nie usłyszę już nigdy. Niestety nikt nic nie mówi. Wszyscy milczą, więc i ja – trochę rozczarowany – milczę chcąc cokolwiek usłyszeć. Tylko mecha- niczny głos odmierza kolejne przystanki. Na tym właściwym zrywam się i po raz pierwszy tego dnia się spieszę, i choć

się spieszę, to nieco się spóźniam. Szatniarka przygląda mi się i stwierdza, że chyba już tu byłem. Potwierdzam, owszem, kilka razy i w różnych rolach, w różnych miejscach, ale nigdy na scenie, choć kilka scen i kilka ról tu odegrałem.

Rozkładałem się w fotelu, gapiąc w oświetloną szarość, ale żadne słowa mnie nie przekonują. Skóra mi nie cierpnie, gdy patrzę na te odegrane dramaty. Widziałem wiele dramatów i może dlatego jestem taki obojętny i mało co mnie wzrusza.

Pożegnanie mnie nie wzrusza. I miłość mnie nie wzrusza.

Na zdjęciu kot mnie nie wzrusza.

Na zdjęciu pies mnie nie wzrusza.

Uśmiechnięte twarze na fotografii i komentarz „super rodzinka” pod fotografią też mnie nie wzruszają.

Czasem tylko chore, łysie dziecko mnie wzrusza, ale chorych, ły- sych dzieci staram się nie oglądać, więc mało co mnie wzrusza.

Patrzę bez emocji i nie zaciskam pięści jak brunetka dwa rzędy niżej, nie pocę się i nie stawiam pytania, czy już jestem, czy dopie- ro będę przegranym. Nie wzrusza mnie płacz bohatera wywalonego z roboty, bo widziałem już facetów płaczących, gdy nie mieli roboty i facetów płaczących, gdy musieli iść do roboty. I widziałem adresatki zasłużonych i niezasłużonych furii, trzęsące się zamiast cieszyć, że to co spieprzyły, jeżeli spieprzyły, już było.

Widziałem płaczących mężczyzn i łkające kobiety.

Widziałem lęki topione i strachy zajądane.

Widziałem żale wyrzygiwane i tłumione gorycze.

Aktor się stara, a ja jestem obojętny, może dlatego, że wiem, że za godzinę, dwie zejdzie ze sceny i wcale nie będzie płakał, i wcale nie straci roboty, wcale nie stracił sensu w życiu, choć może nigdy go nie odnalazł? Nie rozważam już, czy teatr to życie a życie to teatr, nie obliczam prawdopodobieństwa fikcji, bo wiele już widziałem. Dlatego jestem obojętny na dramat, bo większe dramaty już widziałem, choć nie ma większego dramatu niż dramat osobisty.

Widziałem pociąg zgnieciony jak karton po mleku i widziałem pasażerów rozlanych jak mleko ze zgniecionego kartonu.

Widziałem kupę gruzu będącą niedawno domem i widziałem w tym gruzie lalkę, ale nie widziałem czeszącej jej dziewczynki.

Widziałem szereg trumien i pióropusze nad łzami ludzi ze skały patrzących na te trumny.

Widziałem skrzydło urwane z samolotu i widziałem, że nic nie zostało z samolotu.

Cały samolot też widziałem i widziałem ziemię z samolotu, choć z ziemi nie widziano mnie w samolocie.

I opuchniętą twarz w pętli ze skórzanego paska widziałem.

I opuchnięte oczy nierozumiejących skąd ten pasek na tej szyi – też widziałem.

I matkę, której zabito dziecko – widziałem.

I matkę, która zabiła dziecko – też widziałem.

I żonę łkającą, gdy jej mąż wyszedł i nie wrócił – widziałem.

I żonę głęboko oddychającą, że jej mąż wyszedł i nie wrócił – też widziałem.

I nowe życie przyjęte czule w windzie widziałem.

I gasnące życie bezlitośnie pocięte w windzie – też widziałem.

I krew na rękach widziałem.

I krew na bruku widziałem.

I krew na prześcieradle też widziałem.

I łzy widziałem.

I rozpacz widziałem.

I miłość widziałem.

I nienawiść widziałem.
I radość widziałem.
I smutek widziałem.
I pustkę widziałem.
I nadzieję widziałem.
I jak nadzieja umiera też widziałem.
I ból widziałem, choć ból można tylko poczuć.
Ale ból też czułem.

Dlatego jestem obojętny, tak jak tylko obojętny może być ktoś, kto wiele widział i wiele czuł, ale nie wszystkiego doświadczył i nie wszystko poczuł.

Rozłożony w fotelu czuję, że zaczynam przysypiać i tylko antrakty mnie pobudza, a przed drugim dzwonkiem zwiastującym jego koniec, jeszcze bardziej pobudza mnie sąsiad z rzędu, ze swadą dywagujący, że teatr pewno dlatego jest Nowy, bo zapewne nie było go jak przyszli tu Niemcy i jak już wrócili Polacy, to wracający Polacy – dla odróżnienia – nazwali go Nowym.

Mówi z pełnym przekonaniem, a ja mam przekonanie, że Niemcy tu nie przyszli wtedy, tylko byli już wcześniej, dużo wcześniej, choć pewno wcześniej skądś przyszli, chyba że któregoś dnia w gęstym lesie powychodzili zza drzew i już zostali. I jestem pewny, że wcale w tym miejscu nie było żadnego *das Theater* tylko *Cassino* i że żadni Polacy tu nie wrócili, tylko Niemcy sobie poszli, a ci co zostali, z roku na rok coraz rzadziej zakładali *das Hemd*, bo coraz częściej ubierali koszulę, a najczęściej to *tohlekaliby* i tylko ci, którzy przyjechali w miejsce tych, którzy wyjechali, od samego początku ubierali swym spłodzonym i narodzonym tu dzieciom koszulki. Uśmiecham się na myśl, że te *richtig* polskie dzieci nie stąd muszą urodzić jeszcze wiele, wiele dzieci i ich dzieci kolejne dzieci, a te – następne i jeszcze następne dzieci, by w jakimś ostatecznym zestawieniu, jeżeli ktoś ostatecznie to zsumuje, liczba pokoleń polskich (z prawej) zrównała się z liczbą pokoleń niemieckich (z lewej). Lewa musi równać się prawej, a prawa lewej.

Nie ma to żadnego znaczenie, bo tej ziemi było obojętne, kto po niej chodził i co – chodząc – ubierał.

Tak jak skóra Gerharda czerniała się, gdy dupnął metan, tak samo roztopiał się Gerard, gdy metan wybuchł. Tak samo zniknął *Herr* i *Va-*

ter, jak pan i ojciec, z tym że prawdziwi panowie, ci którzy na ten szybko sypnęli złotem, nie musieli szolą zjeżdżać pod ziemię. A po Achimie i Waltrze, z których każdy tak samo mógł i tak samo nie mógł być świnia, zostawały tylko wdowy i sieroty. Te sieroty też potem szły w metan i w niedzielę przed ołtarzem, obok wdów i sierot, klęczały wdowy osierocone po wielokroć. I nie ważne, czy patrzył na nie Bóg czy *Gott*, bo *Jahwe* zawsze znaczy: ten, który jest. Wdowy i sieroty przychodziły i odchodziły, a metan i węgiel były i są tutaj od zawsze. Węgiel dawał żyć, a metan kazał przestać żyć, więc żadna to czyjaś ziemia. To ziemia węgla i metanu, krwi i łez takich samych wszędzie, choć akurat tu drążących czarne. Po Gerhardzie i Gerardzie, po Achimie, Waltrze, Berciku, Rudku i Gustliku, po każdym innym, kolejnym zostanie tylko kamienna tablica. A węgiel i metan będą, bo to ich ziemia.

I na tej ziemi jedni mieli mundury feldgrau, a inni mieli mundury zielone. I feldgrau strzelał do zielonego, a zielony do feldgrau. A zielonym był Ernst Krawietz, a feldgrau był Franciszek Kącik.

Babka Krawtza nazywała się Kaszyca, a babka Kącika nazywała się Kaszyca. Obaj ruszyli z Wilhelminy i obaj do Wilhelminy nie wrócili. Lewa nigdy nie będzie równać się prawej, bo to nierówność z trzema niewiadomymi. Feldgrau i zielony tak samo mógł i tak samo nie mógł być świnia.

Ale czerwony zawsze był i zawsze będzie świnia. Co było do udowodnienia.

Nie zastanawiam się już nad tym, światła gasną, kurtyna odsłania szarą scenografię i szarych ludzi przed nią. Krzyczą, mówią, chodzą, a ja widzę tylko czerwień majtek jednej z aktorek i ta czerwień mnie porusza. Uśmiecham się myśląc, że damskie majtki, choćby i bez koloru, zawsze zwracają męską uwagę a już najbardziej te ubrane, które można bezkarnie ściągnąć góra raz i dwa albo których ściągnąć nie można wcale. Bezwstydnie wypatruję potwierdzenia tego czerwonego faktu na scenie, a gdy jestem go pewny, to przypominam sobie, że w innym czasie, ale w tym samym miejscu, widziałem już tę samą czerwień i zastanawiam się, czy to przypadek czy jakaś premedytacja?

Czy to czerwień radości czy smutku i czy zachęca, czy ukrywa? Czy chroni, czy odsłania, czy to kolor ognia czy męczeństwa?

Tylko tę czerwień pamiętam idąc na dworzec. Czerwień trudno zapomnieć, a w szarość trudno się zagłębić. Czerwień łatwiej dostrzec,

bo czerwieni zmyć niepodobna. Dostrzegam czerwone bombki obwieszające latarnie i słyszę wrzask rozbijanej butelki, jej krzywdę i wściekłość szarej kurtki.

Może nawet lepiej – myślę – że brąz szkła tę wściekłość przyjął na siebie niż miałby jej pomóc ująć blado-beżowa faktura czyjeś skóry.

Widzę szarą kurtkę raz jeszcze przed automatycznymi drzwiami. I Szary na mnie patrzy, choć może bardziej patrzy na mojego papierosa, ale ja patrzę na Szarego, bo ja zawsze patrzę po ludziach i lubię patrzeć po ludziach, nie tylko prosto w oczy, i myśleć, czy mogę na nich patrzeć tylko tu i teraz, czy mogłem wcześniej i czy będę mógł później.

Szary ginie w pustce zabrzańskiego dworca, z której ja uciekłem przed chwilą i paląc obwiązuję szal wokół głowy, bo choć ciepło, siedem stopni w grudniu to bardzo ciepło, to wieje niemiłosiernie i szybko przewijam kciukiem Facebooka w telefonie i czytam, że przez czyjeś życie też kiedyś przeszedł orkan o imieniu Aleksandra i nie było co zbierać. Przypominam sobie, że temu, co wieje niemiłosiernie, ale po czym nie trzeba nic zbierać, ktoś nadał takie imię, choć mógł nadać zupełnie inne, bo przecież każdy w swoim życiu miał jakiś orkan i każdy był orkanem, a rozczarowanie i zdrada to siostry syjamskie każdej więzi.

Już nie pamiętam żadnej czerwieni, widzę szarość kurtki oraz żółć jasnych włosów i znów szarość rozwodnionych oczu Szarego. Szary pyta mnie, co się tak kurwa patrzę, czy mam jakiś kurwa problem. Owszem, odpowiadam, mam. Mój pociąg jedzie dopiero za dwadzieścia minut a ja, choć mam jeszcze godzinę i dwie, a może nawet więcej i nigdzie się nie spieszę, to nie lubię czekać. Szary charczy, że myślał, że mam problem do niego, bo wyszedł dziś po dziesięciu latach z więzienia. Wydaje mu się, że wszyscy patrzą i widzą, że dopiero co wyszedł z więzienia. I wkurwia go to – dodaje, a ja cieszę się, że jednak nie ja jedyny myślę tylko o sobie i choć nigdy nie byłem w więzieniu, to chyba wiem jak to jest wyrwać się z więzienia. Zapewniam, że patrzę na niego, bo widziałem go przed dworcem, ale nigdy nie widziałem w więzieniu, więc nie wiem skąd wyszedł i dokąd jedzie, a Szary wyciąga upstrzoną błękitnymi liniami łapę i mówi: Grzesiek jestem, spod celi: Chudy.

– Wypierdalam z tego pierdolonego Zabrza – odpowiada niepytany, bo miejsca sobie tu nie umieźnałeć. A ja przypominam sobie,

że mój ojciec i jego bracia też kiedyś wypierdolili z Zabrza. Nie mam pojęcia czy trzydzieści lat temu Zabrze było równie popierdolone jak teraz w głowie Szarego.

Ale oni też wyjechali i czasem tam wracali, choć nigdy nie musieli wracać do Zabrza z więzienia.

Ale – myślę – być może Zabrze było tak samo popierdolone jak teraz, bo przecież z jakiegoś powodu wyjechali, choć czuję, że nie wyjechali dlatego, że to Zabrze było popierdolone, tylko dlatego, że to Polska była popierdolona i przypominam sobie, że po trzydziestu latach Zabrze musi być inne niż wtedy, i Polska musi być inna niż wtedy, ale oni choć nie wiedzieli dokąd jadać, to nigdy tego wyjazdu nie żalowali. Może dlatego, że węgiel do pieca wrzucali z kołkastli, a nie z węglarki, a jak wrócili z gruby, to babka rychtowała im ajntopf do misek z byfyju, a nie z kredensu.

Palimy więc sobie z Szarym na peronie, bo choć ja paliłem przed chwilą, a na peronie palić nie wolno, to Szary nie palił od rana i nie jadł od rana – jak mówi, a mówi, że wyszedł po dziesięciu latach z więzienia i niebieskie wzory na jego karku zaczynają się ruszać, a ja się nie ruszam, choć słyszę, że siedział za kradzież i głowę. Kiwam swoją jakbym wiedział, że zabić to łatwo, choć nie wiem. Ale skoro Szary mówi, że to nie problem, to myślę, że rzeczywiście tak jest i uśmiecham się do siebie, bo w ogóle nie boję się śmierci odkąd na kamiennych płytach, na jednym ze szwarcwaldzkich zboczy dostrzegłem, że żaden z moich poprzedników nie przetrwał pół wieku na tej czy innej ziemi i pomyślałem, że ja też dłużej nie przetrwam. I że to nie najgorszy scenariusz. Wtedy tak pomyślałem i teraz też myślę, że mam jeszcze przynajmniej kilka tysięcy dni, by pozostawić po sobie coś więcej niż kamienną tablicę, że zdążę spłacić kredyt tak, by nic po mnie nie pozostało i może uda mi się powiedzieć komuś kilka ważnych słów, tak by coś po mnie pozostało, bo przecież tylko słowa zostają.

I teraz też są tylko słowa, bo pociągu wciąż nie ma. A Szary mówi, że spierdolił sobie życie, że miał a ósemkę i pieniądze, i mógł ot tak je wydawać, ale spierdolił to, wszystko w życiu spierdolił, i że więzienie też człowieka pierdoli, bo jak się wychodzi, to nie wie się co zrobić, a on tylko kraść i zabijać umie, a nie chce już kraść i zabijać, i nie wie co tu robić, dlatego wypierdala z tego pierdolonego Zabrza gdziekolwiek, byle tylko wiedzieć, co ze sobą zrobić. I gdybym z nim posie-

dział albo dał mu coś zjeść, to on by się odwdzieczył, bo potrafi się odwdzieczyć, kolegów nie sypnął, ale oni nie umieli się odwdzieczyć. I nikogo w Zabrze już nie ma, kto chciałby się odwdzieczyć.

W takt słów Szarego zaczynam rozważać, czy już spierdoliłem swoje życie czy jeszcze go nie spierdoliłem, a jeżeli tak, to czy mogę go jeszcze bardziej spierdolić lub jeszcze bardziej nie spierdolić.

Taki Jezus w moim wieku już nie żył, ale wcześniej nie odwracał głowy od grzeszników. Joplin i Morisson też już kilka lat nie żyli, ale wcześniej zostawili po sobie kilka dźwięków. Cobain w tym wieku długo już nie żył, bo spierdolił sobie życie heroiną. A ja nigdy nie widziałem heroiny. I nigdy nie miałem a ósemki, i nigdy nie siedziałem w więzieniu. Werter sobie spierdolił bo cierpiał, a ja też czasem cierpię. Kevin spierdolił sobie życie, bo zbyt wcześnie został sam w domu, a ja rzadko zostawałem sam w domu, choć lubię być sam w domu. I nie pamiętam kto i czym sobie jeszcze spierdolił, bo megafon anonuje wyczekiwany pociąg. Mówię do Szarego: chodź, ale Szary chce jechać nad morze, a ja do Katowic, a to w przeciwną stronę. Szary jest głodny i pyta, czy nie kupiłbym mu czegoś do jedzenia. Dworzec od godziny jest martwy, więc proponuję, że w Katowicach mu kupię, bo mam tylko pięć złotych na bilet. Wolę nie przyznać się, że mam jeszcze stówę, bo dać jej nie chcę, a kusić Szarego, który przecież nie chce już kraść, też nie chcę. Wysypuję drobniaki do jego dłoni, jest tego z siedem złotych, czuję się winny, że nie przyznałem się do stowy, a Szary obejmuje mnie i mówi, że jestem spoko koleś i że starczy mu na kebab, że ja jeden nie odwróciłem wzroku, i mnie jednemu tyle o sobie powiedział. Odchodzi, a ja myślę, że dziś już ludzie mało ze sobą rozmawiają, ale nie mówię tego, by nie zatrzymywać Szarego. Głodu nie da się zatrzymać. Pociągu nie wolno zatrzymać.

Szukając wolnego miejsca zastanawiam się, czy głód męczył go rzeczywiście, czy chciał tylko siedem złotych. I nie wiem jak wyda te siedem złotych, czy zapcha kebabem żołądek czy uspokoi głowę tanim winem. Czy spierdoli te siedem złotych tak, jak swoje życie, czy może zamiast kebaba kupi dwadzieścia kajerek i jeśli był, to chwilę dłużej, nie będzie głodny. Ale to nieistotne, bo został w Zabrzu, a ja jadę z Zabrze i myślę sobie, że siedem złotych, choć to więcej niż bilet do Zabrze, to niska cena za to, że Zabrze – choć może tylko na długość kebaba – będzie nieco mniej popierdolone.

W pociągu myślę jeszcze, że życie zza szyb samochodu wygląda inaczej niż nocą na jakimkolwiek dworcu, że choć ciężko się szło po śliskim, startym bruku, to dopiero ciężko musiałyby być w szpilkach.

Gdzieś w Chebziu, którego nie widać zza nocnych szyb, uśmiechnięta kobieta w mundurze prosi mnie o bilet, a ja proszę ją, by mi go sprzedała. Dziwi się, że nie kupiłem biletu po wejściu na pokład, podnosi brwi, gdy tłumaczę, że rzadko jeżdżę pociągiem, ale uśmiecha się, gdy wspominam, że pierwszy raz jadę tym nowoczesnym pociągiem, choć byłem świadkiem jego pierwszego przyjazdu. Wtedy – opowiadam – na peronie widziałem bardzo piękną kobietę. – I zabrał ją pan ze sobą? – zaczyna gmerać przy elektronicznym terminalu do wydruku biletów. – Nie – odpowiadam z lekkim wahaniem – odszedłem. Kobieta przenosi wzrok z terminala na mnie, jej palce zamierają, uśmiech zastyga, a ja widzę tylko unoszące się brwi i słyszę: to za karę pójdzie pan teraz na czoło pociągu kupić bilet u kierownika.

Odwraca się, a ja idę na czoło pociągu, myśląc o tym ile dziś mógłbym kupić sobie kebabów, że gdybym kupował bilety w kioskach, to uzbierałoby się więcej niż siedem złotych, o Monice, która zdradza i o Jacku, który jeszcze nie wie, że zdrada i rozczarowanie to syjamskie bliźnię i nieodrodne dziecię każdej więzi, o piętnastoletnich ustach, które dobrze mówią o Jacku i o jego szczęściu, o którym nic nie wie, że ktoś dobrze o nim mówi, o tym, że ludzie dziś mało ze sobą mówią, bo lepiej jest milczeć niż powiedzieć za dużo, o tym, że Szary milczał do późnego wieczora i że spierdolił sobie życie, o Zabrze, które jest mi obce, a mogło być bliskie i już nie zastanawiam się, czy zdążyłem spierdolić sobie życie czy nie, bo rozgrzewa mnie myśl, że przynajmniej raz, na dworcu w Zabrzu, byłem spoko-kolesiem. Targuję się jeszcze z kierownikiem pociągu o dodatkową opłatę za niekupiony wcześniej bilet. Jest tak jak chcę, choć myślę, że gdyby było inaczej, to nie byłaby to wielka kara za odejście z peronu.

JUSTYNA KUCZUN
godło: „Ave”

I nagroda w dziedzinie prozy



JUSTYNA KUCZUN – urodziła się 3 grudnia 1984 r. w Bydgoszczy, gdzie obecnie mieszka. Ukończyła studia z zakresu finansów międzynarodowych na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu. Interesuje się współczesną literaturą piękną oraz muzyką gitarową i klasyczną.

#1

Leczę się psychiatrycznie. Jestem nienormalna. Jestem czubkiem, wariatką, mam nierówno pod sufitem. Potraficie już to sobie zwiualizować? Wyobrażacie sobie mnie, osobę z domu wariatów? Jak myślicie? Pewnie muszę gadać sama do siebie. I sobie odpowiadać. Mieć dziwne tiki twarzy. Odganiać się od niewidzialnych muszek. Być agresywna, wywracać meble, wyrzucać je przez okno. Bić słabszych. Ewentualnie molestować małe dzieci. A gównu. Żadne z wyżej wymienionych zachowań mnie nie dotyczy. Nie widać po mnie mojej psychozy. Trzy razy w swoim życiu byłam w ostrej psychozie, ostrej manii. Trochę częściej zdarza mi się wpadać w głęboką depresję, ale to już nie takie sensacyjne, powiecie, prawda? Każdemu z nas było przecież kiedyś smutno. Tylko, że „prawdziwa” depresja to nie jest „smutno”. To czarny ocean rozpacz, w którym toniesz w ciemną bezkسیężycową noc. Topiliście się kiedyś? Krzyczycie, lecz nikt was nie słyszy, nie rozumie. Tak jak czasem we śnie chce się krzyknąć, a z gardła wydostaje się tylko cichy, niezrozumiały skrzek. Zewsząd beznia czarnej wody, która wdziera się w twe usta, płuca, nozdrza. Wiesz, że to już twój koniec, że nie ma dla ciebie przyszłości. Strach przeszywa cię na wskroś, chcesz tylko, żeby to się skończyło. Wielu osób nie udaje się uratować z topieli. Depresja to wręcz uczucie fizyczne. Odczuwa się ją każdym nerwem ciała, boli samo to, że jesteś, istniejesz. Permanentny stan niepokodzenia z samym sobą. Duszy, *psyche* z wolą. Wracając do moich stanów maniakalnych. Czym jest psychoza? To coś bardzo podobnego do schizofrenii. Miałam nawet zresztą wcześniej to rozpoznanie: „schizofrenia paranoidalna”. Po czterech latach zmyto ze mnie skazę i dowiedziałam się, że nie jestem aż tak pojebana jak sądzili. Mam zaburzenia schizoaiektywne. Jak mi się z tym żyje? Cóż... W kraju, w którym polityk chcąc obrazić drugiego mówi na niego „schizofrenik”, nie wydaje się być łatwo. Ale skoro nie można zgwałcić prostytutki...

#2

Korzystając z uroków pracowniczego ogródka działkowego, gdzie prywatność obrócono w małośmieszny żart, byłam świadkiem pewnej sceny. Otóż alejką koło mojej altany szły dwie na oko dziesięcioletnie białogłowy i dwunastoletnia ich wodzirejka. Najbardziej zaawansowana wiekiem, nie bacząc na wątpliwie możliwą intymność innych odpoczywających, niosła rozszczekaną komórkę wygrywająca pieśń „W aucie”. Ażeby nie miano wątpliwości, że tej niewieście nikt w kaszę nie nadmucha, nuciła z uwielbianym zresztą przeze mnie – nie tylko w tym utworze – Frankiem Kimono, nuciła dosadnie, o braniu dam w aucie, sugerując jakoby tą damą miała być ona sama. Krew mi się wzburzyła, na twarz wyszedł rumieniec. Gówniara!!! Ja jej dam w aucie!!! Znaczący się wezmę ją w aucie!!! Przez kolano przełożę i po gołej dupie pasem, jeśli nie ma komu!!! Nawet w tym nieszczęsnym aucie... Przerażona moją własną wrzącą posoką zastanowiłam się, co będzie za lat dajmy na to pięćdziesiąt. Nie, nie myślałam, co wtedy będą nuciły i robiły w aucie dwunastolatki, bo to wizja nazbyt przerażająca. Zastanowił mnie fakt, że skoro w „dojrzałym” wieku dwudziestu i czterech wiosen wymyślam kwiatowi naszej młodzieży i chcę ją umoralniać, to co będzie w siedemdziesiątej czwartej jesieni? Bo tu już pozostaną tylko i wyłącznie bojówki wiadomego stronnictwa... Boże uchroni!

#3

Moja suka jest feministką. Siusia z podniesioną łapą. Czasem widuję też samce – feministki. Kucają przy siusianiu. Co zastanawiające, samce w przeciwieństwie do suk mądrzeją z wiekiem: potrzebują czasu, aby stać się feministkami – zaczynają kucać na starość.

#4

Na jednych z zajęć na studiach miałam trening asertywności. Prowadząca spytała mnie, co zrobię, gdy podpity menel zapyta mnie o złotówkę. No jak to: co? Dam. I grzecznie poproszę, żeby wydał na jedzenie, a nie na alkohol. Wszyscy się roześmieli. A ja nie rozumiałam, z czego się śmieją. To nasz żądny sukcesu i mamony świat naigrywa

się z ludzi, którzy nie poradzili sobie w tym tangu z fortuną. Kolejne systemy przychodzą i odchodzą, a wyznaczony przez samozwańcych bohaterów dnia codziennego margines społeczeństwa jest spychany poza nawias. A czym różnią się ci, którzy zbierają pety z ulicy, od tych, którzy przypalają cygaro złotą zapalniczką?! Czemu do nich powiemy: „Chcesz pan złotówkę?”, a wobec bogatych/znanych dygnitarzy czujemy, jakiś taki psi respekt? Niby nie ma kastowości społeczeństwa, ale niestety człowiek jako zwierzę stadne zawsze szuka lepszych i gorszych, samemu klasyfikując się zgodnie z kryterium. Sto pięćdziesiąt lat temu było to urodzenie. Dziś jest nim bożek – pieniądz. Mam takie dwie historie. Rozmawiałam kiedyś z wynajmującą mi mieszkanie, osobą, która poleca znajomym książkę „Jak zostać najbogatszym człowiekiem świata”, a podczas luźnej rozmowy zastanawia się jaki procent jej znajomych zarabia więcej niż trzy tysiące złotych, a jaki mniej. Otóż po pięciu minutach rozmowy z nią wiedziałam, jak wyglądała jej historia wynagrodzeń od pierwszej pracy, aż do „bycia zmuszoną” do wyjazdu „za chlebem” do Warszawy. Powiedziałam jej, że nie uchybiałoby mi podjąć zaraz po studiach pracę na stażu za osiemset złotych; jej spojrzenie: bezcenne... Inna historia: robiłam właśnie zakupy, kiedy jedna z ekspedientek skończyła zmianę i podeszła do tej, która mnie „kasowała”. „Słuchaj Zdzisia/Krysia/Rysia właśnie kończę, dałabyś mi proszę zapalki? Tylko, że nie mam dziesięć groszy”. Gdy spostrzegłam, że Zdzisia/Rysia/Krysia zrobiła „ryj”, powiedziałam, że ja za nią te dziesięć groszy zapłacę. I zapłaciłam, a ona jeszcze tylko w locie zdążyła krzyknąć, że jest jutro na popołudnie i mam przyjść, to mi odda pieniądze. Mi jakoś na tej oszałamiającej sumie nie zależało, poszłam do domu i o sprawie zapomniałam. Jakież było moje zdziwienie, gdy kilkanaście dni potem, gdy podeszłam do kasy ekspedientka sięgnęła po przygotowaną wcześniej monetę i mi ją podała – „Jakże mogłabym to wziąć skoro to nie moje?”. I uśmiechnęła się na wpół pozbawionym zębów uśmiechem...

#5

Wracając do mojego szmergla. Będąc podlotkiem, czytającym szmirowate romanse historyczne, marzyło mi się narodzić w wieku dziewiętnastym i być debutantką lub ostatecznie panną na wydaniu.

Obecnie, z moim rozpoznaniem, narodzenie kilkanaście dekad temu nie napawa mnie już takim optymizmem. Może i bym zadebiutowała. Ale przez chorobę wyciętoby mi jajniki i macicę. Wylądowałabym w przytułku dla obłąkanych. W najlepszym razie. Bo mogliby też mnie po prostu zabić. Tak jak czyniono to podczas Drugiej Wojny Światowej z takimi odrzutami jak ja. Po co to piszę? Sama nie wiem, nie jestem dziś w nastroju, źle spałam. No dobrze, nieprawda. Wiem, po co to piszę. Skoro przez te sto i kilkadziesiąt lat mógł się tak zmienić stosunek do chorych psychicznie na lepsze, skoro istnieją tacy ludzie jak mój psychiatra, to nawet fakt, że w misyjnej telewizji publicznej, w wiadomościach słowa „schizofrenia” i „psychoza” są używane w tak przerażająco pejoratywnym znaczeniu, jako przykład najwyższego zła, nie sprawi, że nie spojrzę z nadzieją w przyszłość. Chociaż jest to nadzieja pełna lęku, że za sto–sto pięćdziesiąt lat ta choroba cywilizacyjna tak się rozwinie, że nie będzie już tym wspominanym najwyższym złem, bo po prostu większość społeczeństwa będzie chorowała...

#6

Bardzo lubię sport. W telewizorze, bo aktualnie ważę sto dziesięć kilo. Ale lubię. Kiedyś oglądając olimpiadę dostrzegłam pewną zależność: mistrz olimpijski przed dekoracją, musi pochylić głowę, aby przyjąć medal. Nie ma nagrody bez pokory?

#7

Jest już późna, zimna jesień, nie było mnie tu trochę. Naszła mnie przemożna chęć pisanie, przekazania swoich przemyśleń. Mówię sobie: usiądź, napij się herbaty, poczytaj, obejrzyj jakiś film – minie ci. Ale nie. Ta Justyna we mnie, ta która chce krzyczeć, ta którą często określam jako uczucie „chce-mi-się-wyć” domaga się wypuszczenia na światło dzienne. Ostatnio w jakiejś gazecie znalazłam cytat z Muncha: „Choroba, szaleństwo i śmierć to czarne anioły, które czuwały nad moją kołyską”. To jest o mnie. Jeżeli kiedykolwiek uda mi się wydać moją pisaninę, to to będzie motto. Nie znam historii życia Muncha, nie znam jego sztuki kojarzę tylko klimat jego malarstwa i wiem kiedy tworzył, z nazwy potrafię wymienić tylko „Krzyk”. Nie wiem jak

wyglądało jego dzieciństwo. Lecz ten cytat idealnie opisuje moje wraz z wczesną młodością. Więc skoro Jęcząca Justyna nie chce odpuścić, to niech JEJ „krzyk” zostanie przeczytany.

#8

Co można zrobić z bielą tej kartki? Zadawałam sobie to pytanie kilka lat temu. Dziś już znam odpowiedź: wszystko.

#9

Słucham sobie Bacha i myślę o moim byłym współlokatorze (który niedawno się wyprowadził). W jakimś tam komentarzu na „fejsbóku” zakpił, żeby mi oddać zbliżający się jego dyżur na sprzątanie, a na pewno się ucieszę. Jestem bezrobotną absolwentką UMK, siedzę w domu – zajęcia na podyplomówce co dwa tygodnie. Więc sprzątam. Gotuję. Jestem gruba. Lubię pomagać ludziom w drobnych czynnościach – czasem poznywam za nich gary, czasem upichcę obiad. Więc jestem (stereo)typową matką Polką, kur(w)ą domową, jestem nudna. Nie mam poglądów. Stereotypizacja jakiej jesteśmy poddawani mnie poraża. Ja wiem, że myślenie boli, ja mam tego świadomość. Ja nie twierdzę, że nie należy posługiwać się stereotypami (negatywnymi i pozytywnymi), one ułatwiają życie, lecz na Boga!, zdawać sobie z tego sprawę to nie grzech.

#10

Czasem czytam opinie na temat nośnych tematów społecznych, jak aborcja czy eutanazja. Jeden chłopak (młody katolik) na którymś tam z forów internetowych strasznie przeciwstawiał się aborcji. Przyparty do muru stwierdził, że nie chciałby mieć do czynienia z kobietą, która się takiemu zabiegowi poddała. A ja się pytam czemu jej się tak brzydzi, a siebie samego nie? Bo ja się brzydzę sobą. My wszyscy, członkowie i twórcy rzeczywistości jesteście odpowiedzialni za zło tego świata. (A wiadomo, że skoro wszyscy są winni, to znaczy, że nikt...) Ponosimy odpowiedzialność za to, że się wskrobuje dzieci z łona matek. Moje pierwsze pytanie: gdzie są ojcowie? Moje drugie pytanie:

gdzie jest rodzina? Moje trzecie pytanie: gdzie jesteśmy my, którzy tak łatwo kamienujemy etykietami, a tak trudno nam *zrozumieć*. Warto przeczytać książkę Johna Irvinga „Regulamin tłoczeni win”; przeczytać i zrozumieć – niekoniecznie zgodzić się. Prawo do aborcji jest konfliktem między prawem człowieka (kobiety) do decydowania o swoim życiu a prawem człowieka (nienarodzonego) do życia. Ja sobie życzę (marzę), żeby takie konflikty nie miały miejsca. Ale ja jestem pojebana, co ja tam mogę wiedzieć.

#11

Zachorowałam w swoje dziewiętnaste urodziny, trzeciego grudnia 2003. Później poszło z górki – psychiatryk, psychotropy; niewiele z tamtego okresu pamiętam, same wrażenia (uczucia?), ale nie są one przyjemne. Dni mijały mi na czekaniu, przeczekiwaniu życia. Pamiętam to straszne poczucie odrealnienia, kiedy moi znajomi mieli życie, zależało im na czymś. Mi nie zależało na niczym. Chciałam rzucić studiowane finanse międzynarodowe i przenieść się na jakiś kierunek humanistyczny – zmieniła mi się hierarchia wartości. Nie zrobiłam tego jednak, było mi wszystko obojętne, byłam jakby w letargu. Gdy się obudziłam – miałam dyplom magistra ekonomii. A może obudziłam się wreszcie, gdyż skończyłam te studia, których z całego serca nienawidziłam (mimo że były ciekawe)? A może nienawidziłam je, bo mi się kojarzyły z chorobą? W dniu, w którym zrozumiałam, że mam urojenia runął cały mój świat. Z psychozami (w tym schizofrenią) jest ciężka sprawa – człowiek nie zdaje sobie sprawy, że choruje, że jego myśli i mózg przeżera gangrena urojeń i omamów. To bardzo ciężko zrozumieć, jeśli się tego nie doświadczyło samemu, lub będąc bliskim takiej osoby. Jedyną taką osobą, którą znam jest mój psychiatra. Kocham się w nim potajemnie. Żadnym słowem, gestem się nie zdradziłam. Jest to uczucie na wskroś platoniczne, ale nie zmniejsza to siły mojej fascynacji, zwierzęcej.

#12

Mam scenę do filmu à la Kieślowski. Etiuda o dziewczynie, która jest bohaterką piosenki Osieckiej „Na zakręcie”. Idzie zamyślona ulicą

pełną zakochanych par. W sobie tylko znanych myślach rozdziela parę idących z naprzeciwka i trzymających się za ręce. Wchodzi między nich i niszczy splot ich dłoni.

#13

Gadam z „koleżanką po fachu” (czyli wariatką) o naszym wspólnym psychiatrze:

– Chciałam mu na Boże Narodzenie kupić poezje Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej, ale stwierdziłam, że to będzie zbyt jasna aluzja ze go kocham.

– Ty uważaj, bo świry kochają swoich lekarzy. Ja do psychologa poszłam do baby. Na wszelki wypadek.

– Ty masz zaburzenia w obrębie i niepewność, co do obrazu „ja” (*self image*) oraz celów i wewnętrznych preferencji (włączając seksualne). Włączając seksualne! Czyli że baba psycholog cię nie chroni.

– Jest gruba i ma 40 lat.

– Takie mnie najbardziej podniecają.

– Dam ci numer.

#14

Czytam w jednym z tygodników o życiu osób pochodzenia romskiego i polskiego z Limanowej. Z artykułu wynika, że Polacy „fe”, chociaż Romowie też nie bez winy. Podczas czytania artykułu się zgadzam z autorem (choć nie pisze on tego wprost), że trzeba rozumieć, edukować, chronić, nie pozwalać sobie na negatywne nastawianie się, nie generalizować. Tak sobie czytam i przypominam sobie siebie sprzed jakiegoś czasu w galerii handlowej, jak nerwowo sprawdzałam zamek torebki, gdy do sklepu z obuwiem weszły Cyganki. Podejrzewam, że nie widziałam na żywo nigdy tyle gotówki, ile one miały na sobie w złocie, a sprawdzałam ten pieprzony zamek... Schizofrenia? Tak napisaliby niejeden nierzetelny dziennikarz. Używają tego słowa niczym wytrychu, gdy coś jest niezrozumiałe i złe. O tak! Schizofrenia dla wielu jest i niezrozumiała i zła. Ale czy taka jest obiektywnie? Czy jest zła w tym znaczeniu, w jakim to zło jej się przypisuje?

Według mnie – nie; jest zła, ale nie dla ogółu, tylko dla jednostki, której dotyka choroba. To przecież ona najbardziej cierpi, to ona słyszy głosy wyzywające ją od chujów, kurw, suk, skurwysynów. To ona ma urojenia. Rzadko zdarzają się wielkościowe (ja je mam, *oh yeah!*), częściej niestety prześladowcze. Czy któreś z Was kiedykolwiek przeżyło bycie prześladowanym, śledzonym, podsłuchiwanym, namierzanym, czy naświetlanym? Schizofrenicy mają ten luksus na co dzień, 24/7. Ale to oni są ci „be – be”. Ale co ja tam mogę wiedzieć. Jestem stronnicza.

MIŁOSZ ANABELL
godło: „Loko”

II nagroda w dziedzinie prozy



*MIŁOSZ ANABELL – nagradzany na wielu konkursach literackich,
autor pięciu tomów wierszy, sztuk teatralnych, a także tłumacz audio-
wizualny i literacki.*

ŚMIERĆ PSA

W wysuszonym powietrzu zaległa cisza, rozrywały ją tylko nieregularne poszczekiwania psów, którym chyba coś się śniło, bo wieś spała, nawet ci, których podejrzewano o drobne kradzieże, w lecie byli zbyt zmęczeni pracą, żeby nocami oddawać się grzesznym nałogom. Tylko Rafał kręcił się z boku na bok, po raz kolejny opracowywał w głowie rozmowę, którą miał odbyć z ojcem następnego dnia. Przez jego ciało przebiegały na przemian fale gorąca i zimna, wstrząsały sześciolatkiem ciałem, były fizycznymi objawami jego nadziei i obaw. Pokój niemal drżący od upału wypełniały stada much i innych owadów, które siadały na jego ciele, gdy tylko choćby na chwilę wychylił się spod grubej kołdry z owczej wełny. Więc leżał pod nią, przykryty cały, łącznie z głową, niespokojny, pulsujący jak pocisk nadziei, gotowy do drogi, potrzebujący jedynie jednego słowa, które uruchomi spust.

Ojciec się zgodzi, na pewno się zgodzi, powtarzał to sobie wielokrotnie, powtarzał to też Markowi i w końcu obaj w to uwierzyli, zaczęli żyć tymi słowami, one zaczęły mieć nad nimi władzę, porwały ich swoją mocą do zaczarowanego królestwa, w którym życzenia się spełniają. No, ale przecież czasami się spełniają, prawda? Czasami się spełniają. Tak powiedział Marek, kiedy ostatni raz się widzieli, a było to kilka godzin temu.

Spotkali się w starej komórcie z węglem, było po dziesiątej, wszyscy poszli już spać, a oni musieli przecież wszystko jeszcze dokładnie ustalić. Stali tam w ciemności przeszywanej kanciatym promieniem latarki i próbowali ujarzmić Burka, który niemal rzucał się na nich i cicho popiskiwał z radości. Nic dziwnego, całymi dniami siedział tam sam, zamknięty w niewielkim, zakurzonym pomieszczeniu.

– Więc będziesz czekał przy płocie, tak jak mówiliśmy, wcześniej zabierzesz stąd psa i przebierzesz się w moje ubrania.

Obgadywali to już tyle razy, ale wiedzieli, że wszystko musi być dograne perfekcyjnie, że nie będą mieli drugiej szansy.

– Tak, wiem przecież! Dobra, muszę już iść, nie chcę, żeby stary się zorientował, że mnie nie ma.

Potem wyszli w mrok i wrócili każdy do siebie. To miała być ostatnie noc, gdy są rozdzieleni, od jutra mieli być braćmi. Tak, właśnie braćmi!

Rafał przyjechał do Sarniewa dokładnie dwa miesiące wcześniej. Ojciec przywiózł go tu na wakacje, do dziadków, których właściwie nie znał. Powiedział, że chodzi o świeże powietrze, ale chłopak wiedział, że to kłamstwo. Rodzice byli w trakcie rozwodu, chcieli wszystko załatwić podczas jego nieobecności. Podслуchał kilka rozmów, wiedział, że ojciec ma kogoś, że chce wyprowadzić się do innej kobiety, że kiedy wróci do września, to będzie mieszkał sam z matką. Przerażało go trochę przebywanie sam na sam z tą ociężałą, smutną kobietą, której nie zdarzało się wychylać z uprzejmej dorosłości, która dla syna miała jedynie podręcznikowe pocałunki w policzek i ubrania poskładana równo, po sklepowemu, ascetycznie i w sposób, który można by chyba nazwać sprawiedliwym.

Rafał oczywiście nigdy tak nie pomyślał, miał przecież dopiero sześć lat. On był po prostu smutny, a smutek z łatwością przekuł we wściekłość i samotniczy bunt. Lato na wsi było początkowo studium ciszy i zapachu starych ubrań, którymi wypełniony był dom dziadków. Staruszkowie żyli w szklanej kuli starości, babka pielęła bez przerwy ogródek, dziadek rąbał drewno lub wsiadał na rower i jechał na ryby. Dla wnuka nie mieli czasu, a może po prostu nie mogli się nadziwić, że w ogóle z nimi jest, był jakby obok, co dzień na nowo byli zaskoczeni jego widokiem. Babka dawała mu jeść, ścieliła łóżko, szykowała wieczorem wodę do mycia, ale w ciągu dnia jakby o nim zapomniała. Rafałowi właściwie to odpowiadało, oni też nie byli dla niego właściwie rodziną, raczej parą osób, których mieszkanie miało być dla niego kilkumiesięczną przechowalnią.

O wściekłości zapomniał właściwie od razu po tym, gdy samochód ojca zniknął za zakrętem piaszczystej drogi. Cisza domu dziadków była przerażająca, opatuląca jego ciało i izolowała go od jego własnych uczuć. Na szczęście po drugiej stronie drogi, nie więcej niż sto metrów od domu dziadków, był jeszcze jeden dom, większy i wypełniony ha-

łasem. Tak więc prawie od pierwszych chwil pobytu w Sarniewie Rafał siedział przy oknie i ukryty za firanką obserwował życie w tamtym gospodarstwie. Rafał widział ich podwórko ze swojego okna i słyszał ciągle krzyki i przeklinania. Matka przeważnie wybiegała z domu, trzaskając drzwiami, a ojciec wyładowywał całą złość na koniu, którego wyzywał zawsze, gdy zaprzęgał go do wozu. Było jeszcze dwoje dzieci: córka, która miała pewnie z dziesięć lat i syn, w wieku Rafała, który zachowywał się jednak inaczej, też przeklinał i gdy się zezłościł, to rzucił o ziemię grabiami albo widłami.

Rafał często obserwował ich ze swojego okna, w szczególności swojego rówieśnika. W pewien sposób bał się go, a z drugiej strony uważał go za dzikusa. Matka zawsze dbała, żeby Rafał chodził w czystych ubraniach i ładnie się wyrażał, a tamtemu ani było to w głowie. Rodzice zawsze mówili, że tak wyglądają dzieci z „zaniedbanych rodzin” i że należy im „współczuć”. Rafał udawał przed sobą, że współczuje tamtemu, ale tak naprawdę mu też zazdrościł, bo robił on te wszystkie zakazane rzeczy i nikt mu niczego nie zabraniał. Cztery dni po przyjeździe Rafał zobaczył jednak coś, co sprawiło, że zmienił zdanie.

Zbliżał się wieczór, gorące powietrze sprawiało, że trudno było oddychać. Rafał siedział na krześle przysuniętym do parapetu i wyglądał na zewnątrz. Pomiędzy nim a otwartym oknem była śnieżnobiała firanka, która sprawiała, że on widział, co się dzieje na dworze, ale jego nie było widać. Wiedział, że tak jest, bo próbował kiedyś obserwować dziadków z zewnątrz, ale materiał w drobną siateczkę mu to uniemożliwiał.

Więc wiercił się i popijał zimną oranżadę, siorbiąc głośno. Wiedział, że tamten chłopak będzie zaraz wracał z pastwiska z krowami. Bydło zawsze pędziło do domu po całym dniu, a tamten chłopak próbował je jakoś poskromić, choć był od krów dużo mniejszy. Rafał śmiał się, kiedy zwierzęta, a było ich cztery sztuki, rozbiegały się na wszystkie strony, a ich opiekun krzyczał do nich: drogą, drogą, gdzie w pole włączysz jedna z drugą! Tak, to było zabawne.

Ale czwartego dnia stało się coś mało zabawnego. Chłopak próbował przytrzymać łańcuch, na którym pasła się największa z krów, ale był za słaby, zwierzę zerwało się i popędziło przed siebie w pole pomidorów, wzburzając pędy pyłu i wlokąc za sobą małe, wychu-

dłe ciało tego chłopaka. Rafał zerwał się i niewiele myśląc, odsłonił firankę. Szklanka wypadła mu z ręki i rozbiła się na podłodze. Na zewnątrz nie było zbyt dużo widać, przez tuman kurzu przedzierał się tylko piskliwy głos, który wkrótce też ucichł. Do pokoju wpadła babka i zaczęła lamentować nad stłuczoną szklanką, zasłoniła też gniewnie firankę i powiedziała:

– Nie wtrącaj się w nie swoje sprawy, po co ci to? To groźni ludzie, jeszcze nam chałupę spalą, jak będziemy się wtrącać.

Następnego dnia Rafał chodził bez celu po drodze, kopał bezmyślnie kamyki i jabłka, które spadły z bezpieczeństwa jabłonki. Tak naprawdę jednak chciał zobaczyć, co dzieje się u sąsiadów. Wczoraj babka odciągnęła go od okna i kazała mu iść do kuchni, która znajdowała się od strony podwórka i skąd nie było widać drogi ani obejścia sąsiadów. On jednak zastanawiał się, czy coś stało się z tym chłopakiem, a poza tym się nudził i pomyślał, że fajnie byłoby go poznać.

W końcu podszedł pod sad sąsiadów i zobaczył tamtego na huśtawce pod jabłonią. Nie bardzo wiedział, co zrobić, bo babka zabroniła mu się do niego zbliżać, ale miał dość nudy, więc krzyknął z drogi:

– Cześć.

Chwilę potem rozmawiali ze sobą, okazało się, że tamten ma na imię Marek i jest rok starszy od Rafała. Na obu nadgarstkach miał bandaż, a całą prawą stronę twarzy w brązowych strupach.

– Co ci się stało? – zapytał Rafał, chociaż wiedział, że to pamiątka wczorajszych wydarzeń i poczuł, że jego ciało się wzdryga na samą myśl o tym, co widział.

Potem widywali się prawie codziennie.

– W sumie to dobrze, że mnie tak ta krowa załatwiła – powiedział kiedyś Rafał.

– Jak to?

– Inaczej bym musiał w polu robić, a tak to mogę cały dzień siedzieć na huśtawce. Zrobiłem ją już rok temu, ale ojciec mi nigdy nie pozwalał się huścić, bo zawsze tylko robota, robota.

– Ale przecież są wakacje. Ja mogę robić, co chcę.

– Bo ty jesteś z miasta.

Marek opowiedział Rafałowi o swoim życiu, o tym, że przez cały rok musi pomagać w gospodarstwie, a ojciec uważa, że szkoła to strata czasu.

– Czekaj już tylko, aż skończę podstawówkę, żeby móc więcej pomagać. Nauka to jest głupota dla niego. Ale ja lubię lekcje. Nawet jak jest nudno to lubię, bo inaczej to trzeba zaraz do krów iść albo sieczkę ciąć, albo konia poić. Nawet w niedzielę nie ma przerwy, na wsi zawsze jest coś do roboty.

– A jakbyś nie chciał, to co wtedy? Nie możesz powiedzieć, że chcesz oglądać telewizję?

– Ojciec już by mi dał telewizję, pasem by zaraz przyłał albo po łbie z pięści walnął.

– Pięścią! – Rafał był trochę przerażony. – A mama?

– Ona się tylko śmieje.

– Śmieje się?

– Nie chcę nic mówić, ale we wsi mówią, że coś ma z głową nie tak. I dlatego ze starym ciągle jest. Bo inaczej to już by dawno go zostawiła.

Rafał współczuł Markowi. W porównaniu ze wsią jego życie w mieście było bajką.

– Czasami to już mam dość wszystkiego, myślę, żeby stąd uciec. Pójść przed siebie i tyle.

Gdy Rafał to usłyszał, poczuł ciepło rozchodzące się po całym jego ciele, przerażające, ale też przyjemne, napelnione słodczą lepką jak masa w ciście, które robiła babka.

– Ja też o tym myślałem – powiedział szczerze. – Możemy uciec razem!

Marek tylko się zaśmiał i pogłaskał psa, który zawsze mu towarzyszył. Skrzywił się przy tym, bo ręce wciąż go bolały.

– To twój pies?

– Nasz. Ale już długo nie pożyje. Ojciec powiedział, że po żniwach go powiesi, już teraz by to zrobił, ale nie ma czasu, za dużo roboty, szczególnie że ja nie mogę pomagać. Pożyje sobie Burek kilka dni nadprogramowo.

Rafał zaczynał wyobrażać sobie, że ojciec Marka musi być prawdziwym potworem. Jego ciotka miała psa i był dla niej jak dziecko, nawet jedli to samo i spali w jednym łóżku.

– Dlaczego chce go powiesić? To taki piękny pies!

– Bo chałupy w nocy nie pilnuje, więc jest bezużyteczny. Dla starego wszystko musi być po coś, no a taki pies, co nie pilnuje domu

przed złodziejami to na co komu? Powiedziałem mu już, że Burka nie dam, ale tylko się śmiał. Prosto w twarz. Myślałem, że mu przywalę. Ale to wszystko moja wina, bo jak Burek był szczeniakiem, to się z nim bawiłem, bo był taki śmieszny i puszysty, no i on przez to się zrobił śmiały do ludzi i nie szczeka na nikogo, tylko się łąsi. Ojciec mówi, że jakby siedział sam za małego, to by teraz był groźny i byłby stróżem w obejściu. A tak to pójdzie na sznurek. No i ja sobie nie mogę darować, że to przeze mnie.

Marek prawie płakał, chociaż nie chciał dać tego po sobie poznać. Rafał próbował go pocieszyć, choć też mu było nie do śmiechu.

– Nie przez ciebie, to twój ojciec, to on jest taki...

Przez kilka dni spotykali się często, ale potem Marek poczuł się lepiej i musiał wrócić do pracy w polu. Rafał widział przez okno jak razem ojcem zaprzęga konia do wozu, a potem jadą coś robić, nie widział za bardzo co, widział tylko, że zabierają ze sobą dużą, czerwoną maszynę. Zapytał dziadka, a ten powiedział mu, że nadszedł czas żniw, a ten czerwony potwór to snopowiązałka.

Zobaczyli się kilka dni później, gdy Marek przyszedł w nocy pod okno Rafała i zaczął rzucać w nie kamieniami. Rafał wyszedł na drogę, prześlizgując się przez parapet.

– Musimy coś zrobić z psem – szeptał Marek. – Ojciec powiedział, że jutro go powiesi.

Rafał nie wiedział, co zrobić, to Marek wszystkim dyrygował.

– Trzeba go na razie zamknąć w poddachu u twoich dziadków. Oni tam nigdy nie chodzą, a Burek będzie siedział cicho. Powiem mu, żeby siedział cicho, to zobaczysz, że nawet nie piśnie. Wieczorem mu będę przynosił mleko i gotowane kartofle, co to ojciec gotuje dla świń.

Od tej pory widywali się codziennie wieczorem. Ten pies jakoś ich tak połączył, że przez cały dzień obaj myśleli tylko o tym, jak wieczorem spotkają się w poddachu.

Marek był zawsze zmęczony, po całym dniu roboty, Rafał wyspany, znudzony całym dniem spędzonym w domu i na podwórku.

– Kiedy wyjeżdżasz? – zapytał go kiedyś Marek.

– Ojciec przyjedzie po mnie pod koniec sierpnia, żebym wrócił na pierwszego września.

– Dobrze ci. A ja tu zostanę. I psa też sam nie dam rady ukrywać, ojciec go powiesi.

Gdy Rafał wrócił do pokoju, nie mógł zasnąć. Nie chciał, żeby Burek umarł. Było mu też szkoda Marka, tego, że nigdy nie pozna wygodnego życia w mieście. Poza tym wiedział, że będzie na nim tęsknił. W mieście nie miał właściwie kolegów, rodzice nie lubili, gdy się z kimś spotykał, wychowywali go na takiego samego samotnika jak oni. Zawsze marzył, że będzie miał przyjaciela, takiego, jakiego mieli bohaterowie filmów dla dzieci. Albo brata. Dlaczego nie mógł mieć brata?

I nagle go olśniło. Aż siadł na łóżku i z ekscytacji podrapał się po głowie. Przecież Marek może być jego bratem! Dlaczego nie miałby pojechać z nim do miasta? Przecież nie lubi wsi, nienawidzi swojego ojca, a o matce w ogóle rzadko wspomina. I mogliby zabrać ze sobą psa! Szczególnie teraz, kiedy ojciec miał się wyprowadzić, a on z matką zostaliby sami w trzypokojowym mieszkaniu. Tak, powie ojcu, że właśnie tego chce!

Następnego wieczora powiedział o wszystkim Markowi, ale ten zareagował niechętnie. Mówił, że to się nie uda, że to nie takie proste, że mieszka się ze swoimi rodzicami, nawet jeśli są tak straszni jak jego. Marek jednak codziennie mu powtarzał, że on przekona ojca, że wszystko będzie w porządku, że mogą mieszkać w mieście i być jak przyjaciele, jak bracia. Rozmawiali teraz o tym codziennie, tak że Marek uwierzył, że to się może udać.

Nie wiedzieli, jak to się wszystko załatwia, ale Rafał twierdził, że jego ojciec sobie ze wszystkim poradzi.

– Powiem mu, że musisz bez przerwy pracować i że ojciec cię bije. Bo bije cię, tak?

– Tak, po łbie, jak mu się coś nie podoba i po dupie, jak rano przez szkołę nie chce wstać krowom pościelić. A mi się wtedy tak chce spać...

– I psa chce powiesić.

Rafał opowiedział Markowi, jak będzie wyglądało ich nowe życie.

– Będziemy spali w jednym pokoju, wstawi się drugie łóżko. Tak będzie lepiej, bo wieczorem będziemy mogli sobie rozmawiać.

Obaj się uśmiechnęli na tę myśl. I już uwierzyli, że tak będzie, już nie w głowie były im jakiegokolwiek przeszkody, nie wyobrażali sobie, żeby mogło być inaczej. Marek nawet chętnie znosił pokrzykiwania ojca i ciężką pracę przy sianie, bo wiedział, że to już ostatnie dni. We wrześniu będzie już daleko stąd, a oni wszyscy będą się mogli pocałować!

Wreszcie nadszedł 31 sierpnia i dokładnie w południe zajechał na podwórkę samochód. Rafał pobiegł przywitać się z ojcem, ten zapytał go, jak minęło mu lato, ale jemu tylko jedno było w głowie: chciał pokazać mu Burka zamkniętego w poddachu, opowiedzieć o Marku, o tym, że wreszcie będzie miał brata.

Marek też zobaczył samochód i od razu się usadowił koło płotu, zgodnie z umową, ubrał się porządnie i umył, na szczęście była niedziela, więc starzy i siostra niczego nie podejrzewali.

Ale ojciec wydawał się niczego nie rozumieć.

– Przecież ten chłopiec ma rodziców – powiedział.

– Ale oni go biją i zmuszają do pracy!

– Syneczku, nie możemy tak po prostu zabrać go stąd...

– Musisz, musisz zrobić to dla mnie!

Ojciec jednak nie dał się przekonać. Powiedział, że jeśli rodzice biją Marka to on to zgłosi do odpowiednich służb. A na psa się matka nie zgodzi, nic się nie da z tym zrobić.

– Więc nie zostanę z mamą, wyprowadzę się z tobą!

Ale okazało się, że ojciec nigdzie się nie wyprowadza. Przez lato pogodzili się z matką i wszystko miało być po staremu.

– I pomalowaliśmy twój pokój. Zobaczysz, spodoba ci się!

Dwie godziny później wyjeżdżali z podwórka, Rafał na siłę został wrzucony do samochodu i próbował otworzyć drzwi, płacząc histerycznie, ale zamek był zablokowany, więc pozostało mu tylko walenie z całej siły w szyby i fotele. Nawet nie czuł, że uderza za mocno, że obija sobie nadgarstki.

Za samochodem leciał wypuszczony z poddachu pies i szczekał jak oszalały. Chwilę później mijali Marka siedzącego pod płotem w najlepszej koszuli i prawie czystych spodniach. Bardziej eleganckich już nie miał. Rafał zobaczył go i zaczął tłuc rękami w tylną szybę i wołać coś przez łzy. Marek zerwał się, ale nie pobiegł za autem. Nie był tak głupi jak pies, w ułamku sekundy zrozumiał, że nie zatrzymają się po niego.

Dopiero kiedy samochód zniknął za zakrętem zaczął biec i nawet nie bardzo wiedział dokąd, byle przed siebie, przez sadek, a potem przez łąkę, roztrącając dziurawymi butami wyschnięte na pieprz siano. W głowie powtarzało mu się zdanie, które jeszcze wczoraj powiedział Rafał:

– Kupimy ci nowe buty, zobaczysz, mama zawsze kupuje mi nowe buty do szkoły.

Ale to się nie stanie, to wszystko było bzdurą, gównem, w które niepotrzebnie uwierzył. Dobiegł do kopniaka z sianem i wpadł w niego z impetem, przewrócił się, leżał i dyszał na rozwalonej kupce suchych, brązowych kosmyczków. Próbował opanować tę pustkę, która nagle go ogarnęła, a która była niewątpliwie odruchem obronnym, bo wciąż chciał w sobie znaleźć nadzieję, jeszcze przez chwilę podtrzymać tę głupią wiarę, która napędzała go przez ostatnie tygodnie.

– Wróć, wróć po mnie – powiedział do siebie i zaraz wałnął się w czoło pięścią z całej siły, bo wiedział, że nie może sobie pozwolić na bycie naiwnym, na bycie dzieckiem. Nikt nie może się dowiedzieć, co sobie ubzdurał. Teraz jego życie będzie takie, jak jego ojca, matki, siostry. Marek pojechał sobie i już pewnie o nim zapomniał. Miasto było daleko, właściwie jakby nie istniało.

Przybiegł Burek i zaczął lizać go po twarzy, był zziębnięty i nie wiedział, co się właściwie dzieje, cieszył się wolnością, przestrzeń musiała mu się wydawać wspaniała po dniach spędzonych w poddachu. Marek odepchnął go, ale pies nie dawał za wygraną, garnął się do niego, wtedy chłopak kopnął go w brzuch z całej siły, po raz pierwszy w życiu.

Wrócił do domu godzinę później, ze spuszczoną głową, zaciśniętymi pięściami. Ojciec siedział przy stole, obierał nożykiem jabłko, skórka spadała na ceratę, układała się w mały kopczyk. Spojrzał na syna, ale nic nie powiedział, Marek odezwał się pierwszy:

– Pies się znalazł.

Ojciec tylko mruknął, nie chciał sobie przerywać oglądania „Wiadomości”. Spiker mówił o tym, ilu uczniów wyjechało w tym roku na wakacje. Więcej niż poprzedniego lata. Ale jakie to miało znaczenie. Rafał zacisnął zęby, bo chciał powiedzieć coś, czego wiedział, że będzie żałował. W końcu wyrzucił z siebie ze ściśniętym gardłem, oschle:

– Trzeba go będzie powiesić.

Ojciec włożył do ust ćwiartkę jabłka i zaczął mówić, dopiero gdy pogryzł dojrzały, słodki miąższ:

– Zaczeka się z tym na po żniwach, bo nie ma dobrej linki, a teraz nie mam czasu szukać.

Rafał nic nie odpowiedział. Wyszedł z domu, poszedł do warsztatu, wziął nożyce ogrodnicze, a potem poszedł do sadku i odciął nimi huśtawkę. W rękach miał teraz kawałek porządnej linki.

ALFRED SIATECKI
godło: „Różga”



III nagroda w dziedzinie prozy

ALFRED SIATECKI – urodził się 18 czerwca 1947 r. w Kostrzynie nad Odrą. Ukończył studia w Wyższej Szkole Rolniczej w Szczecinie. Doksztalał się na Uniwersytecie Hobenbeim w Stuttgarcie. Po studiach pracował m.in. w Urzędzie Wojewódzkim w Zielonej Górze, był dziennikarzem w „Nadodrzu” i „Gazecie Lubuskiej”. Debiutował opowiadaniem „Poranek” w „Wiadomościach Zachodnich” w 1969 r. Pierwszą książkę „Podzwonni rączniacy” wydał w 1980 r. Jest autorem zbiorów opowiadań, szkiców i reportaży, powieści, opracowań biobibliograficznych o lubuskim środowisku literackim, opinii i recenzji. Zajmuje się historią literatury. Polskie Radio wyemitowało dwa słuchowiska jego autorstwa. Utwory Siateckiego tłumaczono na języki: białoruski, górnołużycki, rumuński i niemiecki. Od roku 1985 należy do Związku Literatów Polskich. Mieszka w Zielonej Górze. Otrzymał m.in. Nagrodę Twórczą Młodych „Zielone Grono” za całokształt działalności literackiej i publicystycznej (1982), Lubuską Nagrodę Kulturalną za osiągnięcia twórcze w dziedzinie literatury i publicystyki społeczno-kulturalnej (1986), Nagrodę Kulturalną Prezydenta Zielonej Góry (1989), Lubuski Wawrzyn Literacki za powieść „Zmowa pułkowników” (2000).

PRZECIEŻ SZWAGIER

O tym, że Michał miał starszego brata, Różga dowiedziała się dopiero w niedzielę wieczorem, dwa dni po pogrzebie. Jej siostra twierdzi, że to ją zaskoczyło bardziej niż rozmowa z sąsiadem dwa domy dalej, który tego samego dnia zaraz po mszy zaproponował jej wszelką pomoc, a potem może i małżeństwo. Spytał, czy zastanawiała się, jak spłaci resztę długu zaciągniętego na budowę domu i co będzie robiła w sześciu pokojach, dwóch łazienkach, garderobie, sali bilardowej z siłownią na poddaszu, schowku na sprzęt wędkarski, wędzarni, spiżarni, garażu na dwa auta. Ile trzeba spalić węgla, żeby ogrzać tyle pomieszczeń. A za co kupić ten węgiel i kto go wrzuci do piwnicy? Kto będzie rano i wieczorem dokładał do pieca i wygarniał popiół? Różga twierdzi, że sąsiad nie zaproponował jej pomocy i małżeństwa wprost, a jedynie spytał, czy się zastanawiała, po co samotnej i bezdzietnej wdowie taki wielki dom. Wtedy o niczym nie myślała, jeśli nie liczyć tego, co siedziało w jej głowie od poniedziałku, to znaczy, dlaczego Michał umarł teraz, kiedy mogli zostać rodzicami, wprawdzie adopcyjnymi, co i tak było lepsze niż nie mieć komu zostawić domu. Siostra Różgi rozповідаła, że tego, dlaczego Michał umarł, nie wiedział też Kazik Krentorz, kolega jej szwagra z podstawówki. Przesada. Kazik jako doktor nauk medycznych, ortopeda i nauczyciel uniwersytecki wiedział dużo więcej niż jest w książkach. Kazik nie przyznał się Różdze, że zlekceważył to, czego wymagał od swoich studentów i dlatego nie przyjechał na pogrzeb. Bał się spojrzeć jej w oczy i wstydził się sąsiadów.

Michał ważył tyle, co trzech Kazików po wielkanocnym śniadaniu. Jak wchodził do kościoła, to kamienne schody się uginały. Na niedzielny obiad zjadał całą kurę, garnek kartofli i miskę kapusty kiszzonej. Wypić również mógł i lubił. Inni spadali z ławki przed marketem, a on śmiał się, że nie ma na Kleszczowie takiego, który by go przetrzymał.

Nie chorował, jeśli nie liczyć grypy, która ostatnio nawet dwa razy w roku kładła go do łóżka. I pewnie nie wiedziałby, jak niedługo może być z nim źle, gdyby Kazik nie powiedział, że przy takim ciężarze, jaki dźwigały nogi Michała, pierwsze nawalą stawy biodrowe.

– Murowana *Coxarthrosis idiopathica* – powiedział, a ponieważ Michał zrobił pytające oczy, wyjaśnił: – Samoistne zmiany zwyrodnieniowo-zniekształcające stawu biodrowego. Krótko mówiąc, chodzi o przedwczesne zużycie i zwyrodnienie tkanek tworzących staw.

Kazik miał rację, bo najpierw Michał poczuł zmęczenie i jakby jego nogi nie były jego. Potem tak go bolały, że nie każdej niedzieli szedł do kościoła, a wracając trzymał się Rózgi, utykał i ciężko oddychał.

– Przyjedziesz do kliniki latem, bo jesienią i zimą jest duża kolejka, to po znajomości wymienię ci prawy staw na sztuczny – zaoferował swoją pomoc Kazik. – Za rok to samo zrobię z lewym. Po zabiegach nie powinienes tyle jeść, co teraz. I staraj się wypić nie więcej niż ćwiartkę samogonki dziennie.

Michał skrzywił się, wszak jedzenie i picie było jego przyjemnością, ale skoro kolega obiecuje pomoc i stawia warunki, on ma jedno wyjście: przyjąć je bez dyskusji. Tylko spytał, ile to będzie kosztowało. Kazik machnął ręką, co oznaczało, że niewiele.

Zechcesz, to od czasu do czasu podrzucisz mi worek kartofli na zimę, skrzynkę cebuli, wytłaczankę jajek, jakby można, to mleczko i maselko. Broń Boże z marketu. Ma być swojskie. Tyle lat jestem w mieście, a zapachu domowego chleba nie mogę zapomnieć – przyznał się.

Ile Kazik obiecał, tyle zrobił ze stawem prawym. Przed wyjściem Michała z kliniki wpisał go na listę oczekujących na wszczepienie endoprotezy lewego stawu, co powinno się odbyć za rok w drugiej połowie czerwca. Michał nie był zadowolony z tego terminu, bo wtedy pensjonat zaczynał zapełniać się urlopowymi gośćmi, ale i nie miał innego wyjścia. Różga mówi, że gdyby nie posłuchał kolegi z podstawówki, jęczałby z bólu, ale i żył.

W poniedziałek rano Różga zawiozła Michała do kliniki, a następnego dnia wieczorem, tak jak kazał Kazik, do niego zadzwoniła.

– Wczoraj moi współpracownicy przeprowadzili podstawowe testy. Nie zrobili wszystkich badań, bo po co go męczyć, skoro mamy wyniki z zeszłego roku. Dziś przed południem dokonałem zabiegu.

Operacja przebiegła zgodnie z planem. Najpóźniej za tydzień może pani zabrać męża do domu – powiedział i dodał ze śmiechem, żeby nie karmiła Michała tak dobrze jak dotąd.

W piątek przed wieczorem odezwała się komórka Różgi, ktoś kazał jej natychmiast przyjechać do kliniki. Spytała, co się stało, ale ten ktoś nie chciał więcej powiedzieć, a może wyjaśnił, lecz ona nie zrozumiała. Nawet nie poprosiła siostry, żeby miała baczenie na dom i psa, tylko chwyciła torbę z dokumentami, wsiadła do fabii i godzinę później wbiegła na ortopedię. Michał leżał z nieruchomymi oczami i patrzył tak, jakby nic go nie obchodziło. Rózdze wydawało się, że od poniedziałku wychudł, posiniał i ledwie oddychał.

– Matko Boża, co oni z tobą...?

– Gdyby pani mąż powiedział doktorowi Krentorzowi o wszystkich swoich dolegliwościach... Podawaliśmy mu te same leki, co po pierwszym zabiegu, a mimo to wystąpił zakrzep. Pierwszy taki przypadek... Przecież każdego tygodnia doktor Krentorz wszczepia co najmniej sześć endoprotez. Nigdy nie zdarzyło się powikłanie. To wręcz rutynowy zabieg – starsza pielęgniarka mówiła tak jakby usprawiedliwiała ortopedę.

– Czy mąż będzie...?

Pielęgniarka domyśliła się, o co zaczęła pytać Różga. Po chwili wahania położyła dłoń na jej ramieniu i odpowiedziała:

– Musi pani być silna. Mimo że zakrzep udało się nam błyskawicznie usunąć, jednak spowodował niedokrwienie mózgu. Z powodu braku tlenu część komórek umarła. Bez pomocy pani mąż nie będzie w stanie samodzielnie funkcjonować. W ostateczności można go oddać do hospicjum. Będzie żył jak roślinka, aż... Pani rozumie.

Michał umarł w poniedziałek. W piątek ci, z którymi chodził do podstawówki, którym naprawił samochód, którzy z nim pili przed marketem, nawet ci, którym założył za skórę, słowem całe osiedle przyszło na pogrzeb. Przyjechało również kilkoro tych rówieśników Michała, którzy zamienili kleszczowskie domy na mieszkania w blokach spółdzielczych. Nie było Kazika Krentorza ani nikogo z jego rodziny. Tego Różga dowiedziała się od tych, którzy chodzą na pogrzeby po to, żeby sprawdzić, kto powinien być, a nie było go na cmentarzu.

– Ten, co stał pod jesionem, to kto? – spytał w niedzielne południe sąsiad Różgi, kiedy wracali z kościoła.

Różga odpowiedziała, że nie wie.

– Nie rozglądałam się – skłamała, chociaż widziała obcego opartego o drzewo.

– Jakby podobny do Michała.

– Pewnie wydawało się sąsiadowi.

Wieczorem Różga siedziała w kuchni i rozważała to, co zaproponował jej sąsiad, gdy najpierw usłyszała ujadanie Bobka, a potem szuranie na ganku i pukanie do drzwi. Na siostrę pies nigdy nie szczekał. Więc obcy. O tej porze? A kto? Może znowu sąsiad? Albo wędkarz chce wynająć pokój, ucieszyła się i pomyślała, czy w lodówce ma coś, co mu poda na kolację.

Mężczyzna, któremu otworzyła drzwi, nie wyglądał jak wędkarz. Był podobny do tego, który w trakcie pogrzebu stał oparty o jesion na cmentarzu.

– Mam do pogadania – oświadczył, a Rózdze się wydało, że w tonie tego zdania było coś z barwy głosu Michała.

I gdy zrobił pierwszy krok, a potem kolejne, to pochylał się i stawiał nogi niemal tak samo jak Michał. W przeciwieństwie do jej zmarłego męża był szczupły, wręcz chudy, nie za wysoki, troszkę przygarbiony. Pewnie jeszcze jeden kandydat na żonkosia, pomyślała z przekąsem. Mimo to pozwoliła mu wejść do kuchni, pokazała ręką, gdzie powinien usiąść i dopiero wtedy spytała, kim jest i po co przyszedł.

Gość położył czapkę na stole identycznie jak robił to Michał, gdy głodny wracał do domu. Odchrząknął i podniósł wzrok na sufit jakby nie wiedział, od czego zacząć.

– Jestem bratem Michała – oznajmił jakby z lękiem w głosie.

– Bratem Michała? – spytała i mimo żaloby się roześmiała. – Michał nie miał brata ani siostry. Był jedynakiem.

– Jak Michał się urodził, mnie szło na czwarty rok – powiedział bardziej zdecydowanie.

– To by mój mąż o tym nie wiedział? Teściowa, to znaczy matka Michała, też o tym nigdy nie mówiła.

Gość wyjął portfel z kieszeni, z niego wyciągnął dowód osobisty i przesunął go w stronę Różgi.

– Chmiel Jan – przeczytała, po czym obejrzała dowód jakby sprawdzała, czy na pewno nie jest podrobiony. – Michał nazywał się Socha.

– On Socha, a Chmiel. Jego i mnie urodziła ta sama kobieta. Nasza matka Kazimiera była z Tałandów.

W starym dowodzie osobistym matki Michała w rubryce nazwisko rodowe rzeczywiście było Tałanda, przypomniała sobie Różga.

– Jeśli pan naprawdę jest rodzonym bratem Michała, a nie przebiezańcem, to dlaczego nie był na naszym weselu? Dlaczego pan nigdy nie zaprosił nas do siebie? Nie odezwał się? Nie odwiedził? Dlaczego teściowa nigdy nie wspomniała, że oprócz Michała ma jeszcze jednego syna? – Wyrzuciwszy z siebie pytania, wstała i powiedziała: – Albo pan wyjdzie z mojego domu, albo zawiadomię policję. – Wyjęła z kieszeni fartucha komórkę.

Gość podniósł lewą rękę jakby prosił Różgę, żeby usiadła i w spokoju go wysłuchała.

– Jak urodziłem się, matka miała dopiero siedemnaście lat. Była panną. Nigdy nie dowiedziałem się, kto jest moim ojcem. Nie miałem jeszcze trzech lat, gdy Józef, ojciec Michała, ożenił się z moją matką. Niecały rok później urodził się Michał i wtedy babka wywiozła mnie pod Rybnik do Lubowa. Do swojej bezdzietnej siostry. Od tamtego czasu nie widziałem matki i babki. Jak byłem mały, to chłopaki śmiali się, że jestem znajdą. Pytałem tę, co mnie wychowywała, czy to prawda, że nie jest moją prawdziwą matką, ale ona zbywała mnie byle jaką odpowiedzią. Umarła i nie powiedziała jak było.

– To skąd pan wie, jak było i że jest bratem Michała?

– Mam na to dokument. – Wyjął z kieszeni papier, rozłożył go na stole, ale nie przesunął w stronę Różgi. Palcem pokazał na nagłówek i przeczytał: – Zakład Genetyki Sądowej w Gliwicach. Świadcstwo badania na pokrewieństwo. Chmiel Jan... Socha Michał urodzony... – Podniósł oczy na Różgę, a gdy ona wyciągnęła rękę po dokument, żeby sprawdzić, czy jej nie oszukuje, powiedział: –W odpowiednim czasie bratowa zobaczy.

– Michał też o tym wiedział?

– Będzie z pięć lat, jak o mnie się dowiedział. Gdzie się dowiedział, nie wiem. Może od matki? Specjalnie przyjechał do Lubowa. Jak wypiliśmy, przyznał się, że nie może mieć własnych dzieci. Że chciałby adoptować, ale to trudna sprawa. Słyszała to córka siostry mojej żony, ona pracuje w sądzie. Jak Michał wyszedł z domu, Klaudia powiedziała, żeby szklankę, z której on pił herbatę i próbkę mojej śliny wysłać

tam – podniósł świadectwo z zakładu genetyki i nim potrząsnął, a gdy Różga znowu wyciągnęła rękę w jego stronę, złożył je w cztery i schował do kieszeni.

– Dlaczego Michał mi się nie pochwalił? – spytała z żalem bardziej siebie niż gościa, jakby pogodzona z tym, o czym się dowiedziała.

Gość wstał, nacisnął czapkę na głowę i wyszedł, zapowiadając, że niedługo wróci po to, co mu się należy.

– A niby co się panu należy?! – zawołała, gdy już był na ganku.

Nie odpowiedział. A może odpowiedział, ale Bobek tak się rozszczękał, że Różga nie słyszała jego głosu.

Wrócił w sobotę wieczorem.

– Należy mi się spadek – oznajmił spokojnym tonem. – Dostanę po dobroci czy mam iść do sądu?

– Jaki spadek?

– Spadek po moim zmarłym bracie Michale – wyjaśnił tak samo spokojnie jak przed chwilą.

– Spadek?... Jakim prawem panu cokolwiek się należy po moim Michale? – zagotowała się w myślach Różga.

– A takim, że jak zmarły był bezdzietny to jego brat ma prawo do udziału w spadku – powtórzył wolno i wyraźnie to, co mu powiedziała córka siostry żony, starając się niczego nie przekreślić. – Mnie jako bratu należy się połowa tego, co zostało po zmarłym.

– Ten dom postawiliśmy razem. Oboje zostaliśmy zapisani u notariusza jako właściciele. Oboje spłacaliśmy pożyczkę. I teraz ja mam dalej spłacać, a pan mówi o prawie do połowy domu? – spytała przekonana, że tym go wystraszy.

– Ja nie mam prawa do połowy domu. Ja mam prawo do połowy tego, co zostało po Michale. To znaczy mnie należy się czwarta część domu, działki, podwórza, samochodu.

– Pan liczy na to, że dostanie cokolwiek po moim Michale?

– Takie jest prawo, bratowo.

Radca prawny z urzędu miasta, do którego Różga pojechała jeszcze tego samego dnia, powiedział to samo.

– Co innego, gdybyście mieli dzieci. W przypadku braku potomstwa, bratu na równi z żoną zmarłego przysługuje prawo do nabycia spadku. Można wnieść sprawę do sądu i domagać się wyłączenia brata

od dziedziczenia. Można, lecz to nie ma sensu. Będą wysokie koszty, a sukces... żaden. Prawo jest po stronie pani szwagra.

– Co więc robić?

– Proszę próbować dogadać się ze szwagrem, ale jeśli się uprze, będzie pani musiała sprzedać dom i wypłacić mu należną część sumy lub...

– Lub co? – przerwała mu Różga.

– Lub sporządzić akt notarialny i pozwolić szwagrowi na swobodne dysponowanie czwartą częścią domu. Ewentualnie znosić to, że będzie w nim mieszkał osobiście lub wynajmie osobie trzeciej.

– W moim domu ma ktoś mieszkać?

– Tylko w tej części domu, której prawnym właścicielem stanie się pani szwagier poprzez nabycie spadku.

Adwokat, do którego Różga poszła prosto z urzędu, powiedział to samo i poradził identycznie jak radca prawny, żeby jednak starała się dogadać z Janem. Sądzenie się z bratem zmarłego męża niczego nie zmieni, a koszty będą wysokie.

– Chyba że pani szwagier odrzuci spadek, w co nie wierzę – dodał.

Jan wrócił w niedzielę. Jak poprzednio, tak i tym razem powtórzył spokojnie, jakby się usprawiedliwiał, że nie on wymyślił takie prawo, ale skoro jest prawo, to trzeba go przestrzegać, co Różgę jeszcze bardziej rozdrażniło.

– Pan nie targał cegieł, nie gotował murarzom, nie oszczędzał, żeby było na spłatę pożyczki! – wykrzyczała. – Jak pan śmie domagać się spadku po Michale?

– Takie jest prawo – powtórzył Jan.

Milczała, wsunąwszy wzrok między kwiaty stojące na parapecie. On też się nie odzywał. Nie wiedział, co zrobić z rękami. W takich sytuacjach zawsze wyciągał papierosy z kieszeni, ale teraz bał się zapalić.

– Prawo to prawo – powiedziała nagle Różga. – Niech szwagier pokaże sądowe potwierdzenie nabycia spadku.

Jan zaniemówił. Tego się nie spodziewał. Wstał, czapkę nacisnął na głowę i bez słowa wyszedł. Wrócił tydzień później.

– A nie lepiej się dogadać... – zaczął łagodniej. Jeszcze nie chciał przyznać się do tego, że Klaudia, córka siostry żony, która pracuje

w sekretariacie w sądzie, tak mu podpowiedziała. Wniesienie sprawy do sądu dużo kosztuje, a i na rozstrzygnięcie trzeba czekać miesiącami. Spodziewał się, że gdy tylko sąd potwierdzi jego prawo do spadku, Różga zapłaci mu tyle, ile on zażąda za czwartą część domu. Już pytał w biurze nieruchomości, za ile taki dom można sprzedać. Przypomniawsobnie, że Klaudia poradziła mu, aby postraszył Różgę podatkiem. – Droga szwagierko, tę sprawę trzeba zamknąć w ciągu sześciu miesięcy.

– Bo co?

Zaraz, jak to ona powiedziała?

– W przeciwnym razie urząd skarbowy zacznie naliczać podatek powiększony o comiesięczne odsetki – powtórzył Jan słowa Klaudii, mimo że niczego nie rozumiał. – Przecież jesteśmy rodziną. Można się dogadać.

Siostra Różgi to samo powiedziała, ale zaraz spytała:

– A skąd weźmiesz tyle pieniędzy na spłatę? Jakby dom był mały, to i spadek mały. Ale tu sześć pokoi, dwie łazienki, garderoba, sala bilardowa z siłownią na poddaszu, schowek na sprzęt wędkarski, wędzarnia, spiżarnia, garaż na dwa auta. Możesz go sprzedać, tylko gdzie wtedy będziesz mieszkała?

Janowi najwidoczniej się spieszyło, bo kolejnej niedzieli przyznał się, że nie ma zamiaru mieszkać w domu Różgi ani sprzedać tego, co mu się należy po zmarłym bracie. Nawet nie chce tyle pieniędzy, ile jego część jest warta. Niech Różga da mu odstępnę. Dziesięć tysięcy.

– I nigdy więcej bratowa mnie nie zobaczy – zapewnił ją.

– A skąd wezmę dziesięć tysięcy na odstępnę? Na pogrzeb się wykosztowałam. Przed Wszystkimi Świętymi trzeba postawić pomnik Michałowi. Zostało jeszcze trochę do spłacenia pożyczki. Jak nie oddam co do ostatniego grosza, to bank zabierze mi dom.

– Przyjadę za tydzień po pieniądze – powiedział.

Gdy Różga opowiedziała siostrze, na co liczy Jan, ta uznała jego podpowiedź za najlepsze rozwiązanie.

– Zgódź się na na odstępnę i będziesz miała spokój. Jakbyś chciała przez sąd... musiałabyś mu wypłacić dziesięć razy po dziesięć tysięcy.

– Po chwili namysłu dodała: – Nie dawaj tych pieniędzy w cztery oczy. Najlepiej pójść z nim do notariusza.

Jan, gdy Różga mu to powtórzyła, pokręcił głową niezadowolony z takiej propozycji. Wstał, zapalił papierosa, podszedł do okna, oparł

się łokciami o parapet i odwrócony do niej plecami milczał jakby szukał lepszego rozwiązania.

– Niech tak będzie – powiedział i zaproponował, żeby opłatę notarialną wnieśli po połowie. – Ja nie chcę krzywdy bratowej – dodał jakby się usprawiedliwiał.

W środę Różga najpierw poszła do banku po pieniądze, potem do parku koło biura notarialnego, gdzie umówiła się z Janem. Żał jej było dziesięciu tysięcy, ale i cieszyła się, że nareszcie będzie miała spokój. Wprawdzie coraz częściej zastanawiała się nad tym, po co jednej osobie taki duży dom, lecz i miała nadzieję, że do końca swoich dni nie będzie w nim mieszkała sama. Na Kleszczowie żyje kilku wdowców, ale jeden, brat dyrektorki szkoły, niewiele od niej starszy i też bezdzietny, nie choruje i dostaje emeryturę.

– Musimy iść do tego notariusza? – przerwał jej rozmyślenia Jan.
– Jakby szwagierka tu dała mnie te pieniądze...

– Bez świadków? Żeby szwagier dalej wyciągał łapę?! Jak nie będzie na papierze, nie dam nawet grosza – naskoczyła na niego.

– Klaudia, to znaczy siostra żony, co pracuje w sądzie, powiedziała, że przed notariuszem mogę zrzec się spadku. Zapłaci się tylko za dokument. Kosztuje to tyle, co dwie faszki sznapsu. Niech będzie moja strata. Zapłacę z tego, co dostanę od bratowej.

– A jak trzeba będzie udowodnić w sądzie albo na policji, że szwagier wziął pieniądze za spadek po Michale, to jak? – spytała Różga, czując, że wygrywa. Może Jan przestraszył się i nie będzie chciał odstępnego? Gdyby zrezygnował, zaprosiłaby go do restauracji.

– Dostanę te dziesięć tysięcy i niczego więcej nie będę się dopominać. – Jan podniósł dwa palce lewej ręki, prawą dłoń przytknął do marynarki i patrząc przed siebie mówił: – Trudno, niech stracę. Ja nie chcę krzywdy bratowej, ale co się mnie należy, musi być moje, bo takie jest prawo. Żeby nie doczekał kopania kartofli, jak nie dotrzymam słowa. Tak mi dopomóż Bóg.

Notariusz zrobił to, o co go poprosili. Z dokumentem w dłoni każde wyszło z jego biura. Różga poszła na przystanek autobusowy, Jan ruszył w stronę sądu, gdzie czekała na niego córka siostry żony.

– Wujek jest głupszy niż myślałam – skarciła go Klaudia.

– Ale nikt nie wie, że cokolwiek wziąłem od Różgi. Nikt nie widział, jak... Nie ma świadków. U notariusza zrzekłem się prawa do spadku

po Michale. Mam to na papierze – rozłożył przed nią dokument i pokazał palcem na okrągłą pieczęć kancelarii notarialnej. – Za nic dobre i dziesięć tysięcy.

– Jakby wujek nie był tak głupi, to mógł mieć dziesięć razy po dziesięć tysięcy. Różga musiałaby dać!

– Żeby ludzie mówili, że skrzywdziłem wdowę? Że połakomiłem się na to, co nie było moje?

– Prawo wujku...

– Dziękuję ci Klaudia, że powiedziałaś, co według prawa należy mi się po bezdzielnym bracie. Pracujesz w sądzie, to znasz przepisy – pochwalił ją. – Prawo wymyślili ludzie, a to nie to samo, co sprawiedliwość. Sprawiedliwie to nic mi się nie należy po Michale.

Siostra Różgi też tak powiedziała.

Tydzień później Różga dowiedziała się, że Jan leży w szpitalu na chirurgii. Gdyby żył Michał, pewnie by go odwiedził, więc ona powinna to zrobić. Jak pomyślała, tak zrobiła.

– Żeby lewa ręka, a to prawa. Co człowiek może zrobić jedną ręką? – ni to spytała siostrę, ni powiedziała do siebie.

– Kogo masz na myśli?

– Szwagra.

– Tego, co połakomił się na spadek po twoim Michale?

– W poniedziałek byliśmy z Janem u notariusza. Mówiłam ci, że wtedy dałam mu dziesięć tysięcy. We wtorek kupił piłę elektryczną do cięcia drewna. W środę rano zaczął nią piłować drewno. I jakoś... zagapił się czy co... piła chwyciła go za sweter. Próbował się wyswobodzić i wtedy... Szybko do szpitala. Lekarze zrobili, co mogli, ale ręki nie udało się przyszyć.

Siostra Różgi wybuchła śmiechem. Gdy się uspokoiła, spytała:

– I ty go żałujesz?

– Szwagier przecież.

– Dobrze mu tak. Wyciągnął rękę po to, co mu się nie należało.

– Miał za sobą prawo.

MARZENA TYL
godło: „Pizzicato”

wyróżnienie w dziedzinie prozy



MARZENA TYL – ukończyła filologię polską (specjalność pedagogiczna oraz biblioteczna) na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. W roku 2011 obroniła pracę doktorską z zakresu literatury staropolskiej na tejże uczelni. Obecnie pracuje jako nauczycielka języka polskiego oraz redaktor językowy w Instytucie Naukowo-Wydawniczym „Spatium”. Publikowała w czasopismach, m.in. „Biblioteka w Szkole”, „Roczniki Humanistyczne”, „Polonistyka”.

BAŃKI MYDLANE

Stało się to jeszcze przed tym, jak repatrianci, na cześć których niedawno dopiero odsłonięto pomnik w centrum wsi, zasłonili niemiecką inskrypcję na szarym krzyżu obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej w złotej ramie. Babcia nałożyła obrączkę na potężny palec dziadka, dziadek nałożył obrączkę na drobny palec babci i od tej pory mieli żyć i długo, i szczęśliwie. Dziadek był olbrzymi, co stało się przedmiotem lokalnych legend, miał olbrzymie dłonie i olbrzymie palce, które ledwie mogły się ze sobą złączyć. Aby usługa jubilerska nie przekroczyła możliwości finansowych rodziny, waga obu obrączek była taka sama, tyle że obrączka babci ciążyła na drobnej dłoni jak kula u nogi, a obrączka dziadka była rozciągnięta jak drożdżowe ciasto, z którego plecie się turecki bajgiel, czyli simit.

Dziadek, jak wiele dzieci w tamtych czasach, w których nikt nie wykonywał badań w kierunku cukrzycy ciężowej, urodził się jako tłuszciosek, małe putto. Wydawało się, że piersi nie ssał zbyt długo, widocznie jednak szybko napępniał brzuch, który u niektórych niemowląt zdaje się być jak beczka bez dna; przybierał na wadze tak szybko, że obcinano stopki w jego śpiochach, by nie musieć za często wymieniać nazbyt kosztownej garderoby. Widocznie ssał intensywnie, bo prababcia, wtedy jeszcze piękna dziewczyna, traciła z dnia na dzień na wadze. Ile jej ubywało ciała, tyle ciała przybywało synowi, jakby pożerał on nie mleko, a mięśnie i tłuszcz z matczynych bioder, talii i brzucha.

Gdy jako trzylatek był już wyższy od swoich rówieśników o głowę i więcej, rodzice zaczęli podawać mu papierosy. Powszechnie było wiadomo, że kto pali za młodu, ten nie urośnie. Trzyletni dzieciak, który nie znał kolorów, ani jednej literki czy cyferki, siedział z ojcem przy kuchennym stole i zaciągał się papierosem, nie krztusząc się przy tym w ogóle. Ale i tak rósł.

Prababcia bała się trochę, że chłopak będzie odstawał od grupy, że będzie wyglądał jak ojciec klasy szkolnej czy podwórkowej zgrai. Pocieszała się jednak, że lepiej być za dużym niż za małym. Wielki przynajmniej może wyegzekwować szacunek pięścią, mały ginie w tłumie. Wielkiemu łatwo zostać przywódcą. Niestety, dziadkowi brakowało cech przywódcy – nawet to, że palił i kiepsko się uczył, nie zapewniało mu roli szefa grupy. Był pokorny, potulny, mało zaradny. Jednocześnie miał wielkie serce, które było puste w środku. Tak samo jak mięśnie nie nadążały za rosnącym zbyt szybko układem kostnym, tak samo środek serca nie nadążał za osierdziem, które pewnego dnia miało zostać wypełnione wielką miłością.

Miłość miała na imię Aniela i rzeczywiście – jak anioł, adekwatnie do swojego imienia – spadła chyba z nieba. Zamieszkała wraz z rodzicami w mieszkaniu nad „Barem pod jeleniem” i pewnego dnia, zniechęcona krzykami dochodzącymi z knajpy i wpadającymi przez okno w jej małej sypialni oparami lanego z beczki piwa, postanowiła, że znajdzie takiego męża, który nie będzie ani pił, ani awanturował się. Franciszek dopiero po latach dowiedział się, że był celem upatrzonym sobie przez pewną tajemniczą dziewczynę, jej racjonalnym wyborem, ale babcia ze łzami w oczach, choć nikt tego od niej nie wymagał, przysięgała, że już w dniu ślubu kochała Franciszka bardziej niż samą siebie. Była w stanie oddać za niego życie, a w czasie, gdy chodził do pracy czy nawet szedł na kilka minut po drzewo do szopy, wiedła z tęsknoty.

Wesele odbyło się w znenawidzonym przez babcię barze, między innymi dlatego, że stamtąd było blisko do domu panny młodej, gdzie goście trzymali swoje rzeczy i gdzie mieli, skonani i pijani, położyć się spać nad ranem. W poniedziałek – po weselu i poprawinach – Aniela przeprowadziła się do domu rodziców Franciszka.

Była to kobieta zupełnie inna niż wszystkie, jakie znacie. Była jak chłop zamknięty w pięknym i filigranowym ciele. To, że było w niej coś z mężczyzny, nie oznacza, że przypominała swojego męża. Pozycja na jeźdźca, naprawianie drobnych awarii i zarządzanie majątkiem to tylko część rzeczy świadczących o silnej osobowości Anieli. Ujawnienie się ich – babci i dziadka – prawdziwej natury umożliwiła tak naprawdę dopiero przeprowadzka do Brochowa, później wchłoniętego przez Wrocław (na swoim mogli stać się sobą), a do decyzji o przeprowadzce z kolei przyczyniły się bańki mydlane.

Pewnego dnia, u progu zimy (jeszcze na wsi), Franciszek o świcie zrobił pranie, ale na dworze musiała już rozwiesić je Aniela, żeby uniknąć zjadliwych komentarzy sąsiadów. Gdy roztrzępywała poskręcane i źle wypłukane w dodatku kalesony, wiatr zadął w „tę” dziurę i wydmuchał z niej solidną bańkę mydlaną. Babcia, która miała naturę wynalazcy, ułamała z drzewa wiśniowego dwie względnie proste gałązki, połączyła je dwoma kawałkami sznurka, przytaszczyła do sadu wiadro, w którym zalegała jeszcze woda z mydlinami, i zaczęła puszczać bańki mydlane – były gigantyczne i wyskakiwało ich spomiędzy sznurków mnóstwo za jednym podmuchem wiatru.

Wieczorem, gdy Franciszek wrócił z pracy, Aniela złapała wiadro i głodnego męża, ku niezadowoleniu teściowej, wiecznie zatroskanej o brzuch syna, zaprowadziła do sadu. Namoczyła sznurki w mydlinach, a bańki wnet zaczęły pływać po niebie wśród pierwszych listopadowych płatków śniegu. Dziadek uśmiechał się tylko, jakby wstydził się patetycznych słów. Zapalił papierosa, potem drugiego. Patrzył i przypominał sobie, jak puszczał w dzieciństwie małe bańki przez ponacinaną słomkę. Złapał żonę na ręce i zaniósł ją do domu.

Rano Franciszek po raz pierwszy sam musiał naszykować sobie chleb do pracy, bo Aniela wstała podniecona i rozgorączkowana, jakby wykluwała się w niej niebezpieczna choroba. Franciszkowi szkoda było żony, jednocześnie miał nadzieję, że brak obiadu i śniadania nie stanie się normą. Wszak Aniela jeszcze nie pracuje, na roli nie pomaga. A zajmowanie się domem, w którym nie broją dzieci, to przecież nic nadzwyczajnego.

– Wiem, zrobię szklane kule... – szeptała jak w malignie.

– Prześpij się, kochana, jeszcze z godzinę. Powiem matce, żeby cię doglądała – powiedział przekonany, że żona wieczorem przemarzła w sadzie. Wiedział też, że przez całą noc padał śnieg i że wiało, a on nie zdążył jeszcze uszczelnić okien w ich pokoju. Miał nadzieję, że nie zaszкодził Anielce.

Ale nim matka Franciszka, prababcia, zdążyła przyjść do synowej, wdrapać się do pokoju na piętrze, zwariowana dziewczyna, jakby niemieszcząca się w swoim małym ciele, wiecznie szukająca nowych doznań, bodźców, była już w sadzie. Przygotowała różnej długości sznury, poprzączepiała je do niepotrzebnych tyczek i starych szczebli, następnie przygotowała wiadro mydlin i zaczęła puszczać wielkie bań-

ki, które zamarzały w locie, osiadały na pokrytej śniegiem trawie, na krzewach i gałęziach drzew owocowych. Gdyby tak umiały pozostać w powietrzu, znieruchomieć tam na całą zimę, byłby to najpiękniejszy z możliwych widoków...

Anielka porozkładała kule po całym sadzie, obłożyła nimi zasypaną śniegiem ścieżkę, starając się nie deptać nieskazitelnego puchu, powciskała je pomiędzy przerośnięty i zapomniany szczypior wystający znad białego dywanu. Była jak właścicielka sklepu, świadoma faktu, że odpowiednio ułożony towar przyciągnie klientów, wpłynie na ruch w sklepie i na stan kasy (dziś szukalibyśmy na określenie tego zjawiska terminów z dziedziny marketingu). A może raczej zachowywała się jak artystka, która wiedziała, co zrobić, by wywołać zadowolenie u konesera sztuki. Sklep? Muzeum? A może tak mógłby wyglądać pałac królowej śniegu...? Natłok myśli osłabiał ją i wzmacniał jednocześnie. Opadała z sił i po chwili zaczynała znów hasać po sadzie, podbudowana jakąś nową, szaloną wizją.

Franciszek ledwie dał się namówić na kolejną wizytę w sadzie. Zapewniał, że wczoraj już widział te bańki, że są przepiękne (jednak zdobył się na patos) i że Anielka powinna występować na ludowych uroczystościach. Zarobiłaby nie mniej niż katarzyniarz czy pan kręcący watę cukrową lub zamieniający ziarna kukurydzy w białe słone chmurki.

– Boję się, że oszaleję z głodu i pozjadam ci te bańki – gorzko żartował.

– Kochany... – uśmiechnęła się smutno. – Tak bardzo cię przepraszam. Obiecuję, będę lepszą żoną.

– Jesteś najlepszą żoną – pocałował ją mocno, tak, jak nie całowano w miejscach publicznych, przy osobach trzecich. – I najbardziej stanowczą osobą, jaką kiedykolwiek spotkałem. Oby dzieci odziedziczyły tę siłę ducha po tobie.

Dziadkowi solidnie burczało w brzuchu, miał ochotę zjeść coś rozgrzewającego, ale gdy zorientował się, że w domu i tak obiadu znów nie znajdzie, poszedł za żoną. Jego matka miała ochotę podać mu talerz ziemniaków z zsiadłym mlekiem, ale nie należała do osób, które się wtrącają. Do wścibskich – już tak. Wiedziała aż nazbyt wiele o synu i synowej.

Gdy Franciszek stanął na ścieżce prowadzącej do sadu, łzy nabiegły mu do oczu, ale otarł je szybko rękawem, by i one nie zamarzły. Początkowo nie był w stanie wydusić z siebie ani słowa.

– Tu jest... pięknie... – wyszeptał po chwili z papierosem w ustach; zapomniał go odpalić.

Wtedy Anielka zaczęła – szybko jak katarynka – przedstawiać mu swój plan. Będą żyć ze sztuki. Otworzą muzeum, które odwiedzać będą nie tylko ludzie ze wsi, ale i z okolic, a może i z całej Polski, jeśli Bóg pozwoli. Zaczną od szklanych baniek, a na wiosnę się zobaczy. Ona coś wymyśli, poczuła w sobie dziwną moc. Tak naprawdę nie była to żadna moc, tylko mój tata, któremu pewnie zaczynały formować się nerki, a serce zaczynało pompować krew w kształtujących się właśnie komorach.

Na początku dziadek, choć zwykle pokorny i przytakujący żonie we wszystkim, nie chciał słuchać o żadnym muzeum. Potem, dla świętego spokoju, bo Anielka na pewno nie spasowałaby zbyt szybko, dał jej wolną rękę.

– Rób, co chcesz kochana – pocałował ją prosto w usta, które – wilgotne – po chwili zaczęły pokrywać się cieniutką warstewką lodu. – Tylko uważaj na siebie.

Kiedy następnego dnia dziadek wrócił z pracy, na siatce ogrodzeniowej przy jego własnym domu widniał już szyld z napisem „Muzeum”. Była to prostokątna blacha przymocowana do siatki za pomocą drutów, ale wymalowane farbą olejną litery – fikuśne, choć pozbawione chaosu – przyciągały widocznie uwagę sąsiadów.

Pierwsze osoby zwiedzające – dwie kobiety – pojawiły się już o godzinie 16.10. Stały nieśmiało w progu domu i pytały, o co właściwie chodzi z tą tablicą na płocie. Kiedy usłyszały, że wstęp do muzeum jest płatny, zawały się przez chwilę, wróciły do swoich domów, aby po kwadransie wrócić nie tylko z garścią pieniędzy, ale i z mężami podśmiewającymi się pod wąsem oraz dziećmi otulonymi w dodatkowe pledy. Anielka z wypiekami na twarzy prowadziła gości przez kiszkowatą posesję, za którą roztaczał się położony prostopadłe względem podwórza ogród z sadem. Na oszronionych gałęziach w świetle księżyca mieniły się szklane kule, częściowo unicestwione w dzień przez pozornie nieśmiałe promienie słoneczne. Mężczyźni wciąż się śmiali, by w ten sposób zatuszować wzruszenie ściskające ich narażone na za-

wały serca. Kobiety nie ukrywały łez zamarzających im na policzkach, łez twardo opadających w formie sopli na śnieg i ginących w nim jak kamienie w jeziorze. Dzieci natomiast robiły wszystko, by dotknąć eksponatów, sprawdzić ich wytrzymałość, dlatego co chwila obrywały po odsłoniętych częściowo uszach czapkami na moment ściągniętymi z ojcowskich głów, również profilaktycznie.

Na początku sąsiedzi nie wiedzieli, czy wolno im deptać śnieg. Zachęcani przez życzliwą Anielkę spacerowali po martwej szklarni, po opuszczonych rabatkach, po wystającej znad ziemi jak garb miedzy. Choć było im zimno, pragnęli zostać w muzeum jak najdłużej. Dopiero gdy dzieci zaczynały popłakiwać, decydowali się na powrót do pozbawionych baśniowego klimatu domów, smutnych sienników i matowej herbaty, zalewanej wrzątkiem przynajmniej dwukrotnie.

Wieści rozchodziły się po wsi momentalnie. Właściwie rozbiegały się, mknęły, szalały jak wichura. Do południa dnia następnego muzeum odwiedziło wprawdzie tylko kilka osób, ale po szesnastej, po obiedzie i po powrocie z pracy żywicieli rodzin, koło płotu zgromadził się kilkunastoosobowy tłum. Już nie próbowano pchać się do domu, każdy wiedział, że muzeum mieści się w sadzie. Na następny dzień przyszło jeszcze więcej osób, a w niedzielę, po sumie, muzeum szturmowali nie tylko mieszkańcy wsi, ale i mieszkańcy wszystkich wiosek parafialnych. Niewielu ludzi próbowało dociec, w jaki sposób powstały kule. Pewnie większość z nich wołałaby żyć i umrzeć w przeświadczeniu, że obcowała z cudem, ze zjawiskiem niesamowitym, z kosmosem.

– Czy można kupić kulę? – spytał Genek Naruszewicz, zamożny kował z sąsiedniej wsi.

Anielka nie wiedziała, co odpowiedzieć. Jeśli sprzeda kulę, przestanie czerpać dochody z muzeum. To miejsce przestanie być wyjątkowe. Chyba że...

Podawała cenę niewiarygodnie wysoką. Jak nie kupi – pomyślała – to dobrze. Jak – co niewiarygodne – kupi, to jeszcze lepiej, przynajmniej kul nie będzie szkoda. Od razu dostrzegła błysk zawiści w oczach osób, które zorientowały się, że zbyt dużo pieniędzy wydały na dwukrotną czy trzykrotną wizytę, ale i tak nic z tego nie mają, nic, co można włożyć do gara, rozsolić, czym da się zapchać wciąż głodne gęby. Zaczęły szemrać coś o pracy w niedzielę i pytać, dlaczego z dobra,

które jakimś cudem pojawiło się we wsi, nie mają korzystać wszyscy. Nie chcieli słyszeć, że to Anielka jest autorką dzieła i że na wiosnę ekspozycja będzie już miała innych charakter. Na wiosnę?! W żadnym wypadku! Wieśniacy woleliby, żeby nie było tu żadnego muzeum. W przeciwnym razie będą chcieli tu przychodzić i będą musieli wydawać pieniądze. A jak nie przyjść, skoro będą przychodzić inni??? Choćby zdrajcy z innej gminy? Odszczepieńcy i bezbożnicy?

Kowal z kieszeni prawdziwego skórzanego kożucha wydobyl woreczek z pieniędzmi i starannie odliczył żadaną sumę. Pozwolił małżonce, Małgorzacie Naruszewicz, wybrać kulę. Ta, w prawdziwym kożusku, wyglądała jak królowa penetrująca skarbiec lub jak kolekcjonerka niemowląt, której dane było wtargnąć na oddział porzuconych po porodzie dzieci. Po chwili odjechali do domu, a na wozie, tuż za ich plecami, spoczywała wielka kula, w której zamożna, więc tęga, Małgorzata, nawet zwinięta w najciaśniejszy kłębek, pewnie by się nie zmieściła, ale na przykład babcia Anielka już tak.

Nikt z obecnych nie dysponował taką gotówką jak Genek Naruszewicz, ale po mniej więcej godzinie – już nie opłacając wstępu – do muzeum zaczęli wracać ludzie z odmierzonymi kwotami. W tajemnicy przed współmałżonkami wyciągali spod sienników pieniądze odkładane latami na remont ciekącego dachu. Matys Grabowski sprzedał obrączkę żony miejscowemu złotnikowi, któremu nikt nie miał za złe, że zdarzało mu się handlować przy niedzieli. Niektórzy zapożyczyli się u rodziców, wujostwa. Kucharka poprosiła księdza, by zapłacił jej choć raz za pracę na plebanii z góry, choć ten ostrzegał ją, że pieniądze bardziej przydałyby jej się przed świętami Bożego Narodzenia niż teraz. Po tym, jak rozplakała się, wsunął w jej dłoń nie tylko wypłatę, ale też dodatkową garść pieniędzy z nieśmiałą prośbą, aby i na plebanie przyniosła jedną kulę. Kobieta poleciała do Anielinego muzeum jak na skrzydłach i już po kwadransie przyniosła księdzu ogromną kulę. Za swoją na razie zapłaciła i poprosiła Anielę, by ją odłożyła na bok, zarezerwowała.

Anielka i Franciszek w jeden dzień stali się bogaczami. Przez chwilę Anielka obawiała się nawet, że kul nie starczy dla wszystkich, że będzie musiała zrobić ich więcej dla nowych klientów, tych kupujących, ale i zwiedzających. Odbierając pieniądze i wydając znoszone przez Franciszka z zakamarków ogrodu kule, modliła się w duchu o wiatr

i mróz. Teraz kul było tylko kilkanaście, a pośród drzew stało jeszcze sporo ledwie widocznych w ciemnościach osób.

– Oszuści! Złodzieje! – nagle do ogrodu wpadła grupa rozjuszonych sąsiadów. Za nimi biegły płaczące, biadolące i pyskujące na przemian żony.

– Złodzieje...? Ale jak to...? – spytała Aniela, czując, że drętwieje jej czoło, a oczy pokrywa dziwna mgła, pojawiająca się tylko w chwilach największego zdenerwowania. Dziadkowi na wpół wypalony papieros wysunął się z ust i upadł na śnieg, by tam, pod butami, wygasać w spokoju.

– Ano, złodzieje! Roztopiły się!!!

– Plama wody!

– Mydło!

– Roztopiły się! W dupę wsadźcie sobie szklane kule.

Rzeczywiście – pomyślała Aniela – trzeba było powiedzieć ludziom, że kule należy trzymać na dworze i ostrzec, że na wiosnę znikną, wsiąkną w świeżą trawę, zapewnią jej soki, siły witalne i że – być może – nawet wcześniej może nastać ich kres.

Franciszek miał ochotę zapewnić ludzi, że odzyskają pieniądze za kule. Ale oni byli teraz nastawieni zbyt bojowo – chcieli pieniędzy nie tylko za kule, ale i częściowo już upłynnione pieniądze za bilety wstępu. Małżeństwo postanowiło poczekać z deklaracjami do rana, niedługie życie zdążyło ich nauczyć kilku ważnych zasad, na przykład takiej, że na gorąco nie powinno podejmować się żadnych ważnych decyzji.

Franciszkowi i Anieli udało się jakoś dotrzeć do domu. Sąsiadów nieco uspokoiło, bowiem zapewnienie, że nazajutrz omówią z właścicielami muzeum formę rekompensaty na pachnące mydłem tłuste plamy w sieniach i kuchniach. Dziadek nie wiedział, czego chce. Żał mu było pieniędzy, ale wiedział, że gdy ich nie oddadzą, nie zaznają spokoju. Wieść o tym będzie przechodziła z pokolenia na pokolenie. Naznaczy ich dzieci i wnuczeta. Pamięć ludzka, odnosząca się do krzywdy, cierpienia, niesprawiedliwości, jest tak dobra, jak psia pamięć sensoryczna. Natomiast Anieli ani w głowie była rezygnacja z luksusu, który już czuła na swoje skórze, na podniebieniu, w uszach, nozdrzach. Już widziała siebie w wannie z mydłem, którego nie szkoła zanurzyć choćby i na pół godziny.

– Kochany, pomyśl. Halki, gorsety, samowar, prawdziwy serwis do herbaty. Nie oddawajmy tych pieniędzy. Nie oddawajmy – on zasypiał, a słowa „nie oddawajmy” powtarzały się w jego głowie jak echo. – Pojedziemy do Wrocławia, wynajmiemy kamienicę. Mieszkanie. Damy radę. Jesteśmy bogaczami, bogaczami, bogaczami...

Franciszek miał wątpliwości, czy namowa Anielki jest etyczna, ale kiedy rano ujrzał, w jaki sposób wieśniacy zemścili się na muzeum, poczuł taką złość, jakiej nie czuł nigdy w życiu. Na udeptanym śniegu poniewierały się odłamki rozłuczonych kul. Wśród nich leżały stare sztachety, paliki i kije po połamanych grabiach.

Młode małżeństwo nie miało zbyt wielu rzeczy – wszystko, co należało tylko do nich, zmieściło się w dwóch torbach. O świcie ucałowali otumanionych i niewiele rozumiejących rodziców Franciszka, wstąpili na kilka minut do rodziców Anielki i zaraz potem pobiegli na pociąg. W zatłoczonym przedziale starsza pani uparła się, żeby ustąpić miejsca Anielce. Czyżby wyczuła, że ta, sama nieświadoma jeszcze niczego, jest w ciąży? Podobno kobiety wyczuwają ciążę u innych kobiet.

Szukanie mieszkania nie trwało długo. Wiele kamienic stało jeszcze pustych, wiele poniemieckich domków czekało na nowych właścicieli. Problemem był tylko czas potrzebny na załatwienie odpowiednich dokumentów. Pieniądze za jedną z kul pomogły jednak w przyspieszeniu procedur i tego samego dnia dziadkowie stanęli w progu swojego nowego mieszkania.

Dziadkowie nie dowiedzieli się nigdy o tym, że rodzice Franciszka do końca swych dni spłacali dług natarczywym sąsiadom. Dawali, co mieli: ziemniaki, marchewki, pikle. Z trzech zniesionych przez kurę jaj oddawali obcym ludziom dwa. Sami i tak prawie nie jedli. Wysuszona w trakcie karmienia piersią matka nigdy już nie przytyła, nie miała też żadnego zacięcia kulinarnego (zwłaszcza od czasu wyprowadzki syna), więc i jej mąż jadł tylko tyle, by podtrzymać, bynajmniej nietętniące, życie. Sąsiedzi natomiast nie mieli skrupułów, by przychodzić po wszystko, co dało się wyciągnąć od staruszków.

Dopiero po przeprowadzce, jak wspomniałam, zaczęła ujawniać się prawdziwa natura Anieli i Franciszka. To ona rozpychała się łokciami, by załatwić przydział mieszkania i meldunek. Franciszek, wielki, lecz wylękniony jak pierwszoklasista, nieśmiało obserwował żonę spod nasuniętej na oczy czapki. A może wstydił się, że został w tyle,

że nie przejął inicjatywy? W dniu ucieczki ze wsi dziadkowie stali się mieszkańcami Brochowa, który jeszcze wówczas był samodzielnym miastem.

Babcia Anielka z papierami w dłoni wypytywała wrocławian, które-
dy do tego tajemnego Brochowa, o którym nie mieli bladego pojęcia. Kiedy wreszcie weszli do domu, babcia ledwie rzuciła pakunki na nie-
pastowaną od lat podłogę i wybiegła na ulicę, przy której kilka minut
wcześniej widziała zakład ślusarski. Gdy wróciła, dziadek siedział na
ponadgryzanej przez mysz wersalce, smutny i nieobecny. Domyśliła
się, o co chodzi. Nie pytała go o zdanie, nie pozwoliła być mężczy-
zną.

– Trzymaj – położyła na emaliowanym stole garść śrubek, szylid,
wkładki i dwie klamki w kolorze stalowym.

Pomyślała, że Franciszek nie będzie miał z tym najmniejszego pro-
blemu. Niech naprawia co łatwiejsze rzeczy, niech reperuje i cieszy
się, że wije męską część ich nowego gniazda. Franciszek biedził się
nad nowymi zamkami niemal do północy. Klamkę z jednej strony
przytwierdził odwrotnie, klucz można było przekręcić w zamku do-
piero wówczas, gdy z całych sił docisnęło się drzwi do futryny. Aniel-
ka w tym czasie szorowała podłogę, kamienne pojemniki na korze-
nie, wysypywała stare okrychy z masywnych szuflad i komponowała
bukiet ze sztucznych kwiatów. Gdy dziadek usnął, rozkręciła zamek
w drzwiach i złożyła go w ciągu kilku minut na nowo.

Oboje znali prawdę, ona знаła ją tylko nieco wcześniej.

Następnego dnia dziadek poszedł szukać pracy. Pod wieczór wrócił
do domu jako intendent z ośmiogodzinnym stażem odbytym w szkole
podstawowej. W tym czasie babcia odmalowała salon i sypialnię, pod-
łożyła kliny pod chwiejące się meble i wymieniła zmurszałe uszczelki
w syfonie. Od tej pory dziadek zaopatrywał placówkę w jedzenie, de-
cydował z wyprzedzeniem o tym, co będą jadły cudze dzieci, a babcia
czekała na rozwiązanie, nie ślęcząc bynajmniej nad szydełkowaniem bu-
cików i czepków niemowlęcych, ale reperując sprzęty domowe. Gdyby
nie troska o opinię męża, przyjmowałaby zlecenia na drobne naprawy.

Dziadek zdobyte w szkole umiejętności przynosił do domu. Zaczął
przygotowywać potrawy, które podpatrywał u zwinnych kucharek.
Poznał sposób na to, w jaki sposób obierać szybko ziemniaki, co zro-
bić, by brukselka nie była gorzka i jak ubić schab, by strzępki mięsa

nie przyskały na boki i nie przyklejały się do świeżo odmalowanych ścian. Tak więc z czasem to dziadek zaczął gotować: rankami, wieczorami (z myślą o dniu następnym), a w dni wolne od pracy – w południe. Na święta robił prawdziwe smakołyki: galarete, pierogi, łazanki z serem czy kapustą. Babcia sprzątała, prała, zajmowała się synem, który urodził się w maju następnego roku; nudząc się trochę, szukała zepsutych rzeczy, które mogłaby naprawić. Jednak kiedyś mieszkania nie były tak zagracone, jak teraz. Dziś mężczyźni niemal codziennie muszą choćby wymieniać baterie w interaktywnych zabawkach dzieci i sklejać chińską tandetę, która niszczy się po kilku dniach użytkowania. Kiedyś dzieci bawiły się ziemniakiem nadzianym na kij, a gdy ziemniak pękł, brało się nowy. „Głowa” starej lalki szła do gotowania – trafiała do kopytek lub klusek śląskich. Albo, rzecz jasna, do krupniku. Tak więc, gdy brakowało już urządzeń, które można naprawić, babcia zaczęła sama wynajdować rzeczy albo kopiować te, które podpatrzyła u innych. Sama skonstruowała zatem suszarkę do grzybów, podgrzewany czajniczek na uprzednio zaparzoną herbatę, w sam raz na długie wieczory. Wreszcie wymyśliła, zupełnie sama, prostownicę do włosów, wychodząc z założenia, że skoro nie potrzebuje lokówki, jak wszystkie jej sąsiadki, bo ma kręcone włosy, to wynajdzie coś, co pomoże jej wyprostować włosy od czasu do czasu, dla odmiany. Jest takie jedno zdjęcie babci w prostych włosach, z przedziałkiem po lewej stronie głowy przechylonej w prawo – tak, by przedziałek był na górze. Babcia z tej fotografii patrzy na świat, którego nie poznała, tak dumnie, jakby chciała powiedzieć, że nie żałuje, że jej nie ma, i że wie, w jak intensywny sposób czerpała radość z życia.

Po odchowaniu syna, który – w wieku trzech lat – poszedł do przedszkola, babcia zaczęła pracować zawodowo. Zatrudniono ją w tej samej szkole podstawowej, co Franciszka. Uczyla wielu przedmiotów, przede wszystkim plastyki i techniki. Dzięki niej szkoła odnosiła sukcesy, brała udział w wernisażach i konkursach. Wielu uczniów nawet po latach przychodziło dziękować babci za rozbudzoną w nich miłość do piękna. Były to osoby, które pokonały szkoły, uzyskały dyplomy ASP, nie zawsze znajdowały uznanie otoczenia, ale robiły to, co kochały – tworzyły. I dzięki temu były szczęśliwe.

Żeby nie zaszkodzić dziadkowi, babcia nie obnosiła się ze swoją naturą majsterkowicza. Kochała męża i chciała, by to on w oczach

sąsiadów i bliskich uchodził za mężczyznę, złotą rączkę. Nie pożyczała nikomu prostownicy, a podgrzewaną herbatkę piła tylko z synem i mężem w długie zimowe wieczory. Jednak pewnego razu, kiedy i ona, i jej mąż byli już starzy, a ich syn miał już własne dzieci, babcia skonstruowała maszynę do robienia baniek mydlanych. Słowo „baniuki” wywołało u Franciszka strach, niepokojące wspomnienia. Baniuki pojawiły się na początku ich wspólnej drogi. Czy może być drugi początek? Ale Aniela nie musiała prosić go dwa razy. Z miłości, ogromnej, ogromnej miłości, i z wdzięczności za wspaniałe przeżyte lata zgodził się wypróbować maszynę na podwórku otoczonym kamienicami.

Z bijącym sercem siłacz pewnego ranka, gdy spędzaliśmy u dziadków wakacje, wyniósł maszynę na dwór. Była wielka i tajemnicza jak katarynka, którą jeszcze czasami można było spotkać na jakimś festynie. Babcia uchyliła firankę w oknie kuchennym i czekała na bieg wydarzeń. Kilkoro dzieci zleciało się już do dziadka jak sępy czekające na ofiarę. Dziadek dyskretnie wytarł spocone dłonie w znoszone spodnie, odruchowo sięgnął po paczkę papierosów do kieszeni na piersi, ale – widząc ukryte za firanką karcące spojrzenie żony – zrezygnował z zamiaru palenia; zakręcił korbą, najpierw delikatnie, jakby dopiero zaczynała rozbrzmiewać piękna melodia, a potem szybko i nerwowo.

I... nic się nie stało. Niezrażone dzieci zacierały dłonie. Gdyby nie to, że sama maszyna była dla nich interesująca już sama w sobie i że odebrała im mowę, bezczelnie zasypałyby dziadka gradem pytań. Dziadek przygryzł wewnętrzną stronę lewego policzka i błagalnymi oczami, wokół których pojawiły się czerwone obwódki, spojrzał w stronę okna z poruszającą się w nim firanką.

– Pomóż... – westchnął bezgłośnie.

– Do góry, do góry – głosu babci nie było słyhać, ale słowa te można było wyczytać z nerwowo poruszających się, nigdy nieumalowanych, ust.

Babcia ujęła w dłoń niewidzialny przedmiot i szarpnęła go w górę. W tym momencie zaszkłone oczy dziadka uśmiechnęły się, kąciaki ust pozostały na swoim miejscu, no, może tylko leciutko drgnęły.

Dziadek wielką dłonią objął drewnianą wajchę i podniósł ją w górę. Za nią z pojemnika z wodą i rozpuszczonymi płatkami mydlanymi wyłoniło się pięć połączonych, nienachodzących jednak na siebie jak te z flagi olimpijskiej, kół. Dziadek raz jeszcze osuszył dłonie, kręcąc kor-

bą, uruchomił wiatrak, a zaraz potem mydlane membrany zaczynały przeistaczać się w wielkie, lecz lekkie, kule.

Był to najpiękniejszy obraz, jaki w życiu widziałam.

Gdybym miała nakręcić film, w którym pojawiłaby się ta scena, użyłabym tylko czerni, bieli i szarości. Takie byłyby ściany starej kamienicy; byłyby to kolory ławek z obskurnymi deskami zawieszonymi na betonowych stelażach, śmietników zbitych byle jak z niepotrzebnych płyt, obumarłych krzewów i wiecznie żywych, niemal wołających, kamieni. Tylko unoszące się w powietrzu bańki, pachnące praniem i świeżością, mieniłyby się wszystkimi kolorami tęczy, w tym mało popularnym fioletem i nieczęsto docenianą żółcią.

W dali, na balkonach, falowałyby na wietrze śnieżnobiałe prześcieradła na sznurach do suszenia bielizny.

Z czasem, jak dziadek zanurzał koła w mydlinach i wypuszczał bańki nad Wrocław, na podwórzu przybywało dzieci, nie tylko z czterech kamienic otaczających podwórko, ale i z okolic. Nawet nieśmiały Leon Lewandowski, który po śmierci żony wychodził z domu tylko po to, by kupić coś do jedzenia, przyszedł do nas i zaczął wygrywać na skrzypcach staroświeckie melodie, klasyczne i biesiadne, które wydawały się wtedy piękniejsze niż hity z Opolą. Kiedy krzywymy palcami i stwardniałymi opuszkami grał pizzicato, wszystkich ogarnęło wzruszenie. Jakiemuś brudnemu chłopczykowi łzy spłynęły do zasmarkanego nosa, tak że przy jego nozdrzach napęczniała spora zielona bańka. Śmiech wywołany tym obrazem pomógł rozładować napiętą atmosferę – inaczej ryczelibyśmy wszyscy jak ogarnięta hormonalną burzą pierworódka w trzecią dobę po wydaniu na świat niemowlęcia.

Dzieciaki przynosiły z domów kolejne porcje mydlin. Zwykle oszczędne matki tego dnia godziły się na wszystko – same ze łzami w oczach patrzyły na kolorowe bańki, próbując odzyskać w ten sposób chociaż część utraconego dzieciństwa.

Bańki już nie przypominały tych kulek o średnicy wielkości jednego centymetra, wydmuchiwanych z rurki po napoju kupionym na festynie i przechowywanej przez lata w kuchennej szufladzie. Były wielkie, cudowne. Można było na nie patrzeć bez końca.

Proszono dziadka, by stanął z maszyną do baniek na zbliżającym się "odpuszczu" przy którymś z wrocławskich kościołów czy na jarmarku, podczas którego wrocławianie próbują zapomnieć na kilka chwil

o szarej codzienności. Ale dziadkowie, szczęśliwi, usatysfakcjonowani doznaniem estetycznymi, drugi raz już nie chcieli uciekać przed ludźmi żądającymi od nich zwrócenia pieniędzy. Wspomnienie muzeum pomagało wybić im z głowy mimowolnie pojawiającą się od czasu do czasu chęć zarobku.

Niedługo po tym wydarzeniu – żadna to nowina, żadna rewelacja – dziadek umarł. Wielki człowiek, któremu babcia oddała całe życie, dla którego porzuciła dom, z którym postanowiła zamieszkać w obcym miejscu, przy boku którego kładła się spać i witała każdy dzień po prostu zamknęła oczy i przestał czuć, jakby nie wiedział, że wraz z nim kona cały Anieliny świat. Był tak wielki, że babcia musiała jeździć po całym Wrocławiu, by znaleźć trumnę, w której mógłby się zmieścić. W niektórych zakładach sugerowano, by zgąć nieboszczykowi nogi, co było niemożliwe, bo ciało było już twarde, czy ułożyć go pod lekkim skosem. Nie po to jednak walczy się przez całe życie o piękno, by pozwolić na byle jaką śmierć. Babcia – emerytowana nauczycielka – pomimo całego bólu i targającej nią rozpacz zachowała zimną krew; skorzystała ze szkolnej pracowni, by samodzielnie zbić trumnę dla swojego ukochanego olbrzyma.

Wykorzystując tyle samo drewna, zbiła też drugą trumnę, mniejszą, ale masywniejszą. Dla siebie. Obie do domu, w którym od dwóch dni leżało ciało, zanieśli najżałośniejsi żałobnicy świata: dwaj szkolni konserwatorzy w połatanych kufajkach i ubrudzonych smarem ogrodniczkach. Szli z pustą trumną – najpierw jedną, potem drugą (nadszpedzowanie ciężką jak na swój wymiar) do kamienicy Anieli, biedni, zaniedbani, ziemiści na ciele i duszy, jakby chcieli przypomnieć, że śmierć w naszej kulturze nie jest powodem do radości i do wdziwania najlepszych bluzek z żorżety i spodni z satynowymi lampasami.

Babci ciężko było dźwignąć dziadka, ale – nie prosząc nikogo o pomoc – uporała się z wielkim ciałem. Potem zajęła się sobą, zajęła, nie uporała. Nie dźwigała się, nie perswadowała, nie szamotała jak motyl w sieci. Po prostu stwierdziła, że nadszedł TEN czas, i położyła się w topornym, lecz schludnym pudle pachnącym świeżym drzewem i lakierem, który mógłby podtruc żywego. Zamknęła oczy, zdążyła jeszcze pomyśleć o bańkach, tak jak przed snem myśli się o maślakach i kurkach po kilkugodzinnym grzybobraniu.

ANNA KOKOT
godło: „Santa Fe”

wyróżnienie w dziedzinie prozy



ANNA KOKOT – urodzona w Poznaniu, z wykształcenia politolog i dziennikarka. Debiutowała opowiadaniem fantasy „Pożeracz” w Klubie Literackim Centrum Kultury „Zamek” w Poznaniu. Współpracuje m.in. z pismem „Protokół Kulturalny”, wydawanym przez Klub Literacki „Dąbrówka” w Poznaniu oraz miesięcznikiem „SOSNart”, a także „Gońcem Ziemi Wronieckiej”.

BELZEBUBY POD SPÓDNICĄ

– W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego...! – wyszeptał proboszcz pobierałymi z przerażenia wargami i silniej zacisnął palce na wielkim krzyżu, zawieszonym na szyi. Czuł jak ciąży mu ten metalowy Jezus rozpostarty i misja jego na tej wsi naznaczona. Przez chwilę nawet żałował, że księdzem miejscowym został, zamiast się w jakimś zakonie klauzurowym na fest zamknąć i dla pewności jeszcze замуrować, z dala od ludzi i zgryzot wszelakich ziemskich, pokracznych.

– Sromota, sromota wielka! – zaczęli pokrzykiwać starsi ludzie, groźnie wymachując pięściami.

– Doigrała się ta córka szatana, oj doigrała! – kiwały głowami wiejskie babinki, ciaśniej zawiązując na siwych swoich głowach kwieciste chusteczki.

– Baba z ogonem! Baba z kopytami! Baba z rogami! – darła się radośnie jakaś drobniaczka zasmarkana, dzieciarnia rozdokazywana i biegła z miejsca na miejsce, w ferworze wielkim więcej emocji ujawniając.

Proboszcz tymczasem jął miętosić guziczki swej sutanny, oczy wznoślić ku niebu, policzki pucułowane rumieńcem krwawym okładać:

– Bracia i siostrzyczki moje najmileńsze, kochane! Toż ja nie jestem właściwa osoba do takiej oceny, wydawania werdyktów natychmiastowych! – tłumaczył zebranej wokół niego gawiedzi swoje zmieszanie i niepokój przeogromny. – Przecie mi nie wypada, drogie dziatki, bym tam zaglądał, oczy wyteżał, widoki nieprzystojne oglądał! – w jego głosie strapienym nutki błagania żalosego pojawiać się zaczęły, z akcentami hysterii jakowejś nierozpoznanej.

Czego proboszczyna tak się przeląkł, przed czym tak usilnie się bronił do chwili ostatniej? Oto wiejskie chłopiny uradziły bowiem, że z jedną babą z pobliskiej chałupy porządku jakieś zrobić trzeba. Oto bowiem ona z diabłami ma jakieś konszachty, spółkuje z nimi

lubieżnie noce całe, Boga ani ludzi pobożnych się nie boi... Sodoma i gomora to wielka, plagi i kary ściągnąć może z niebiesiech na wieś całą za swoje szatańskie swawole! Uradzili zatem, że babę trzeba komisynie obejrzyć czym prędzej, pod spódnice w zbożnym celu jej zajrzeć i obaczyć czy tam jaki Lucyfer, czy inne szatanisko w ekstazie się w rozwiązłości jej nie pławi, amorów jakich nie zażywa. Nie namyślając się długo obmyślili, że badaniem baby przy pomocy wykrywacza diabła kosmatego proboszcz miejscowy się zajmie, boć to człek zaufany, z gruntu pocziwy i szatana się niebojący. On jednak zląkł się okrutnie powierzonego mu zadania odpowiedzialnego, gdyż człowiekiem był nieśmiałym oraz wstydliwym ponad miarę. Pod babine spódnice nigdy dotąd nie zaglądał – szczególnie, że owa babina nie za stara przecie była, dwadzieścia dwa lata miała i lico jeszcze gładkie, a zalotne. Publika tego widowiskowego oglądania głośno do działania go jednak motywowała, na prawa Boskie się powołując i nawet dzieśięć przykazań przywołując w chwili napięcia wielkiego.

– Ludzie, ludziska kochane, ja nie mogę przecie! Reprezentuję zarząd z nieba samego, mnie się nie godzi spódnic babskich oglądać! – proboszcz protestował nieustępliwie.

I spoglądać zaczął proszalnie na tego i innego chłopinę, by z obowiązku wyznaczonego go zwolnił, do posług odmiennych delegując. Tłum gwarny pomruczał coś pod nosem przez chwil kilka, podelibrował odrobinę, a potem sołtys głos zabrał:

– Księżę proboszczu, skoro taka wasza wola, ja komisynie zbadam babskie spódnice rozszalałe. Żonę mam w chałupie od lat dwudziestu, więc babskie łaszki w niczym mnie zaskoczyć nie mogą, szoku od tego patrzenia nie doznam bolesnego. Może tylko o błogosławieństwo jakie poproszę, by mnie te babskie szatany za koszulinę nie zalazły i czego złego nie uczyniły...

Proboszcz ulgę czując niewymowną, za modlitwę pospiesznie nad sołtysem się zabrał, a poszeptawszy jakieś zdrowaśki – znak krzyża nad głową pochyloną mężczyzny zrobił.

– Czyń w pokoju to, co musisz, bracie mój czcigodny! – położył dłoń na jego łysinie gorejącej różowością niezwykłą i moce mu ukryte modlitewne przekazał. Mężczyzna z nabożeństwem wyraźnym ucałował jeszcze kraj proboszczowej sutanny poprzecieranej, a potem niczym w bój ciężki wyruszył.

Początkowo dziarskim krokiem zmierzał w kierunku baby zaleknionej, ale im bliżej ją widział przed swymi oczami skupionymi, tym wolniej nogami poruszał. A gdy stanął przed kobieciną drżącą ze strachu – to i jego lęk jakiś objął w posiadanie nienazwany. I już wyciągał ku niej rękę sztywną i cofał w popłochu, i wysuwał w jej kierunku paluchy koślawe i za siebie zaraz je chował.

– No kumie drogi, z życiem gmeranie zaczynaj, a szybko! Cóżes się pan tak zafrasował znieńacka? – pytali go ludzie najbliżej niego stojący, drapiąc się po łepetynach rozczochranych pytaniami nagłymi.

– No, bo to tak dziwnie jakoś, nie po chrześcijańsku, do baby obcej z łapami się wybierać, wiatraki jej pod spódnicą kręcić... – począł mruczeć cicho sołtys, wzrok wbijając w swoje stopy mocno złączone, jakby zrośnięte na wieki.

Proboszcz – dostrzegając wahanie sołtysa zamyślonego, w obawie, by jego ponownie ludziska do obmacywania baby nie wydelegowali, postanowił nagle zachęcić nieśmiałka do odważniejszego działania.

– Drogi bracie, toż to wola boska jest byś szatana jakiego babie owej pod spódnicą wymacał! To nie my ci każemy zajrzeć tam w czełści piekielnych kanałów tej nałożnicy zła, ale Bóg sam! On rozkazuje ci, byś pobożności naszej wiejskiej strzegł pilnie i na straży dobrobytu wszelakiego stał wytrwale! Czyń zatem co ci polecono, a nie marudź niepotrzebnie, nie zwlekaj! Jeśli nas zawiedziesz, na sądzie ostatecznym Opatrzność za krzywdy nasze słono karami wiecznymi ci zapłaci!

Na takie słowa przerażające – sołtys przełknął głośno kulkę śliny, co to w gardle mu tkwiła rozpraszająco i ku babie przystąpił. Drżącymi ze strachu nieludzkiego rękami dotknął babskiej spódnicy, zaraz splamionym na wieki się czując. A potem – zadając kłam swoim uczuciom szalejącym wewnątrz – zaczął badać materiały kolorowe kawałek po kawałeczku, fałdka po fałdce, zakładka po zakładce, falbanka po falbance, wzorek fikuśny po wzorku fikuśnym. Ostrożnie wodził palcami po aplikacjach nićmi wyszytymi, motywach kwiatów polnych, listeczkach zieloniutkich – jakby obawiał się, że diablisko przebiegłe pomiędzy tymi drobiazgami haftowanymi gdzieś skryć się mogło. Sprawdzał, czy szatan rogów zza kłoska jakiego wyszytego na haleczce nie wystawia – czy ogona nie widać zza zapaski wzorzystej, czy kopytem gdzieś nie ryje zza kwiatuszkiem wyszytym ręką cierpliwą...

I pocił się przy tym chłopina obficie i język przygryzał do krwi boleściwej, ale nijak żadnego złego znaleźć nie mógł. A gapie przyglądali się jego dłoniom, tańczącym po wierzchu spódnicy. Głowy przy tym przechylali, szyje wyginali, oczy wybałuszali, usta rozdziawiali tępo ze śliną lepłą kapiącą, bo emocja ich zżerała wielka i żar dziwny w lędźwiach im narastał.

– Głębiej pogrzeb wywłóce, czorta wymacaj! – odzywał się raz po raz ten i ów dziadyga, z nogi na nogę przystępując. – Toż on może gdzie się ukryć, ladaco, buszować niecnie pod spódnicą baby, igrać między jej kolanami jako masło wyrobionymi...

I gorączka poczęła chłopów jakaś ogarniać, ekstaza przeogromna, myśl niejedna bezbożna, podniecenie takie, jakiego dotychczas chyba nie doznali. Już w głowach im się jęły rodzić pomysłówki wulgarne, namiętne i szalone. Kotłowały im się pod czaszkami słowa nieprzystojne, ruchy podpierzynowe, macania szybkie a celne, spełnienia całkowite. Mruczeć zaczęli zmysłowo, posapywać miłośnie, obejmować się rękoma, oczami wywracać, jakby jakich epilepsji zaznali. Proboszcz rozmodlony, cichutko sobie na boczku tłumu klęczący, nie od razu zorientował się, co to za choroba chłopów powala, jakie to uniesienia nimi miotają nieustępliwe. A gdy już zrozumiał, że oto szatan nie pod damską spódnicą jest schowany, ale swobodnie wędruje po tych mężczyznach zgromadzonych, było za późno. Wszelkie pomniejsze diabły i diabełki już się zleciały, demony cherlawe i rachityczne, kuśtykające i z amputowanymi ogonami, a nawet lewym lub prawym rogiem uciętym. I wstąpiły one wszystkie w dziadygi grzechem zmysłowości zachwycone, wleciały w ich dusze jakby je kto zapraszał, chlebem i solą na progu witał. A jakże się rozdokazywały, jak zawirowały! Tańczyć zaczęły zaraz w tych sercach tak łatwo zdobytych, w tych umysłach słabiutkich, w oczach zła pełnych. Usiadły sobie szybciotko na językach rozgadanych – niby na jakiś piernatach, biesiady urządzały i do rozrywek wszelkich się rwały, tak były rozochocone, szatańskich endorfin i serotonin pełne. Zgłupiały od radości, że tak łatwiutko duszyczki słabiutkie chłopskie posiadły. Bawiły się ich właścicielami, jakby ci byli tylko bezwładnymi laleczkami, marionetkami bezmyślnymi, nitkami do ich rąk władczych przywiązanymi.

Nadaremno rozszałały z rozpacz i przerażenia ksiądz szeptał pacierze, do egzorcyzmów się przymierzał, wody święconej szukał, czo-

łem zmarszczonym okrutnie ziemi dotykał w pokorze, na krzyżu mocno zaciskał dłonie. Diabelskie bankiety nie znikwały, a tylko w kolejne fazy głupawki zabawowej wchodziły. Atmosfera rozprężenia moralnego narastać zaczęła, pełna chuci potwornej a wszechogarniającej, rozbrykania płciowości wiejskiej. W tym tumultcie, w tym kurzu miłosnego rozpasania, nikt nie zauważył, że zdesperowany proboszczyna kobiecinę pociągnął za rękę i gdzieś ją w wielkim pośpiechu prowadził. Ona początkowo mocno się opierała nieboga, nogami nie chciała wcale przebierać, palce zaciskała, szarpać się poczęła i nawet nad krzykiem straszliwym a wyjąłym przez moment się zastanowiła, ale po lichym pomyślniku uznała, że w tym zamęcie nikt jej nie usłyszy. A jeśli nawet – to tylko jeszcze jakie większe krzywdy może jej wyrządzić, cnotliwość niewieścią zupełnie zabrać i podeptać publicznie, na wieki, na jej zatracenie...! Proboszcz pacierz jeszcze jaki szybko wyszeptał, przeżegnał się nabożnie trzy razy i do ucha kobieciny wyjął: „Dyć ja ino pomoc chcę, ratować przed tym tłumem diabelskim, z szatanami płasającym!”. Dopiero to zdanie proste otworzyło źródółko ufności babskiej. Tak oto kobiecina dała się poprowadzić proboszczowej dłoni, już o płaczu nie myśląc ani o krzyku jakim.

Zatrzymali się oboje pod krzyżem rozstajnym, gdzie Pan Jezusek zwieszał smutno głowinę swoją świętą nad łanami zboża marnego. I kobiecina tak samo głowę swoją zwiesiła, zafrasowanie ją ogarnęło wielkie, lży ciężkie rodziły w bólach jej oczy zmartwione.

– Cóż ja teraz pocznę, nieboga! Chyba uciec będę ze wsi naszej musiała, bo tu mnie czeka tylko męczarnia wielka! – i chlpać zaraz zaczęła, piąstkami drżącymi tarła powieki, aż spuchły brzydko i poczerwieniały.

Westchnął ciężko proboszczyna empatyczny, bo i on się zastanawiał, jak pomóc nieszczęsnej. Oto bowiem sierotą była, rodziny żadnej we wsi nie miała, a że ładna, jasnowłosa i wielkooka, chłopci na nią chętnie zerkali – stóg siana cichy proponując, gdy im wódka gorliwie uderzała do głów pustawych nieco. Ona jednak odmawiała wszystkim towarzystwa swego, kobiecość swą od chłopów izolując, o amorach ani myśląc, czegoś innego widać szukając. Nie wiedział proboszcz czego ona od życia oczekiwała, wiedział jedno: tego w tej wsi zapytałej pewnikiem nie znajdzie. Chłopy rozochocone, jurne, rozgorączkowane żyć jej nie dadzą. Co rusz przecie jaki kawaler do baby tej

gładkiej podchodził i nawet o rękę ją prosił chwacko, ale ona tylko „nie i nie!” – krzyczała, odganiając się od chłopów jak od jakiś much bzyających, nad kupką gnoju latających. Nie chciała widać być żoną pokorną przy mężu, rodziny zakładać nie planowała – przecie to się w głowach wiejskich nie mieściło! Nikt nie słyszał o emancypantkach dziarskich, feministkach rzutkich – co to o swoje prawa walczą i każdemu chłopu, choćby najsilniejszemu – postawią się odważnie. Oni tu we wsi mieli inne porządki niż ci miastowi ludzie, inne wyznawali wartości, odziedziczone z dziada pradziada. O nich tylko pragnęli rozprawiać, tylko je chcieli wcielać w życie. Baba bez męża dziwadłem jakim im się wydawała, więc jęli ją nachodzić i straszyć w izdebce jej kobiecej, sądy przepowiadać, diabłami straszyć, od czarownic wyzywać. Już co noc pod jej chałupą warty stawiali, przez okna jej zaglądali – szukali, ale sami nie wiedzieli czego. Jeden patrzył przez okienko maleńkie zakładając, że może jakie spółkowanie z szatanem zobaczy, skoro baba wołała bez mężczyzny żyć ziemskiego i unikała dzieci płodzenia regularnego. I choć zobaczył tylko jej główkę ku obrazom świętym wzniesioną, jej oczy skromnie spuszczone ku ziemi, jej rączki pobożnie złożone, kolana klęczące – to naopowiadał potem po wsi całej, że pierzyny u kobieciej nocami aż podskakują, dymią ogniem piekielnym i sapią niczym sam czort jaki. A spod pierzyn szalejących – ogon diabelski wystaje, wywija młynki różnorakie, wokół nóg białych niewiasty nieprzystojnie się owija. Początkowo ludziska jakoś mu nie dowierzali, ale on długo bił się w piersi, by potwierdzić prawdziwość słów swoich, na wszystkie świętości się zaklinał, na Najświętszą Pannienkę przysięgał. Tak jak on widział być miało, trzeba ukrócić to diabelskie spółkowanie, rozrozumienie ciał szatańskich i sił nieczystych!

Swoją zazdrość o młodą, niezamężną kobieciej przeobraził w gniew wielki, który sprawił, że jej zaszkodzić się starał, doświadczając ją boleśnie. Tak długo o diabłach pod jej spódnicą płasających powiadał, aż ludzie wiejscy mu uwierzyli. Chłopy odtąd co noc pod chałupą baby się ustawiały, przez okno do wnętrza kobiecego domostwa zaglądały, najwyraźniej cuda jakie niemoralne spodziewając się zobaczyć. Lecz im dłużej niebogę śledzili, im dłużej nocami wzrokiem swoim obślizgłym ją napastowali, tym ona pozostawała skromniejsza i cichsza, zamysłona i pokorna. Za dnia z oczu im schodziła, od nikogo nic nie chciała, nikogo nie zagadywała, byle tylko niewidzialną być, w swo-

im kółeczku życia powolutku się obracać. Niestety, ludzie wioskowe nadal złym okiem na nią patrzyli – a starsze kobieciny wręcz oskarżały ją, że im chłopów od chałup odciąga, rozwiązłościami swymi licznymi mami i przyzywa nieustępliwie. Od czarownic ją wyzywały i gdyby mogły – zbierałyby dowody przeciwko niej, by ją na mokre krzeselko usadzić. Test na czarownice toć był przecie niezawodny! Mogłyby ją także w rzece pławić i patrzeć potem czy wypływa... Jakżeby chętnie rozgniataczem do piersi jej cyce zniszczyły na wieki, pozbawiając jej płci oraz wsi całej zainteresowania! Albo nawet na stosie wysokim podpaliły, wędząc jej ciało w boleściach nieziemskich!

Nieszczęsna opędziała się od ludzkich knowań dzień po dniu, zeskrobując w ciemności swej izdebki spojrzenia zimne ze swego odzienia wierzchniego, wycierając ślinę nienawiści, która jej policzki upstrzyła. I płakała rozdzierająco – i ręce załamywała. Co mogła zrobić, kiedy za mąż wyjść nie planowała? Taka to już jej natura była, wołała panną pozostać, w czystości dziewiczej żyjącą, niż gzić się z chłopami brudnymi, żądz pełnymi, sokami buzującymi. Gdyby ją ludziska we wsi w spokoju zostawili i żyć jej pozwolili jak sobie wymarzyła, byłaby w stanie przecie sama się utrzymać z pracy rąk swoich. Temu i tamtemu w oborze by pomogła, krów by na pastwisku popilnowała, strawy dla głodnych sąsiadów przygotowała – i tak by za parę miedziaków przebidowała. Już i ona żadnych pałaców nie chciała, na suknie nie zwracała uwagi, bo tylko zazdrość babską powodowały oraz podszczypywania dziadyg rozochoconych. Tak więc w jednej, starej swej spódnicy chodzić zamierzała i tylko cerować ją regularnie, jeśli jakie dziury w niej niespodziane wyskoczą.

Niestety, chłopcy wiejskie poczuły się urażone jej obojętnością i do komisyjnego macania jej spódnicy się zmówiły. „Diabła pod nią hodujesz!” – krzyczeli, sprośnie machając językami czerwonymi. I tak oto doszło do tego belzebubowego grzebania w jej materiałach dziewiczych, w jej nocie białej jak lilija. Czekala, co jej proboszcz strapiony poradzi, a on z Jezuskiem przydrożnym rozmawiał, o ratunek dla biedaczki prosił.

W miesiąc później panią Kogutkową została, za męża sobie przed Bogiem przysięgając po wsze czasy mizernego chłopinę ze wsi sąsiedniej. Oto był cały proboszczowy pomysł: tylko wyjście za mąż pomóc jej mogło, a ona choć rękoma i nogami zgrabnymi się przed tym

zapierała, w końcu innego wyjścia nie znalazła. Dzięki nieudolności oraz ofermowatości męża o pożycie małżeńskie martwić się zupełnie nie musiała, bo chłopina ów to był taki wiejski głupek, ułomny jakiś, bezrozumny ździebko, co to nocą pierzynami gorącymi wcale się nie interesował. Całymi dniami by tylko po ludziach chodził i o gwiazdach z księżycem gadał, ciągle w górę popatrując, choć słońce stało wysoko na niebie. Śmiali się z niego ludzie okrutnie, ale on nic sobie z tego widać nie robił, tylko śmiał się wraz z nimi i po udach się klepał zabawnie, jakby mu żart jaki chichoczący opowiadali. Kpili z niego wieśniacy, oj kpili:

– Idź zaraz do chałupy, bo ci żonka z tym rogatym waćpanem męzowskie rogi przyprawia! – żartowali, popychając go łokciami i szczypiąc w ramiona. – Jeszcze cię jakim kopytnym bękartem obdarzy i będziesz wychowywał dzieciątko czarne z ogonem demona! – a choć aż rzeli z uciechy, Kogutek pozostawał niewzruszony.

– Na obiad rosółek Kogutkowa mi ugotuje smakowity! I jeszcze pierogów obiecała ulepić mięciuchnych! – cieszył się jak dziecko niemądre i aż przytupywał z uciechy jakiej. W swej naiwności i głupocie niewinnym był mężczyzną, co to nie uświadamia sobie nawet istnienia uciech cielesnych, rozkoszy bolesnych a słodkich. Jego ciało mizerniutkie nieme pozostało na uroki niewieście, żołądek jednak cenił sobie babskie gotowanie i dogadzania kulinarne. To w żołądku cała jego zmysłowość siedziała i tylko jedząc, rozkosz jakąkolwiek czuł i przeżywał. Pomieszania zmysłów mógł dostać na widok sagana zupy pożywnej, ale nie oglądając łydkę swojej pani Kogutkowej. Zresztą – łydki mu żadnej – ani innej części ciała, pokazywać nigdy nie zamierzała. Nie martwiło go to wcale, bo o istnieniu sfer miłosnych nie miał pojęcia.

Po paru miesiącach chłopci we wsi znów raban podnieśli, bo nie podobało im się, że pani Kogutkowa – choć mężatka, wciąż niepokalanością swą jak całunem szczególnie się owija, cnotę swoją przybijając niczym wstążkę do sztandaru bojowego. Nie wiedzieć czemu wciąż nęciła ich jej spódnica pełna obietnic jakowyś, jej zakładki tajemne, jej plisy emocjami układane. Niby miała męża, ale widać obowiązków swoich małżeńskich nie dopełnił, skoro oni wciąż odczuwali pokusę obmacania jej materiałów babskich, jej halki intymnością krochmalo-

nej. Uradzili zatem, że znów komisyjnie macać ją będą, pod spódnicę zajrzą, a diabła poszukają dokładnie, centymetr po centymetrze.

Jak uradzili, tak też zrobili. Komisję zwołali – znów w niej sołtys się znalazł i paru wygadanych chłopów, co im w pierzynach żony do chędożenia widać nie wystarczały. Proboszcza oczywiście też dokoopowali, choć ten znów opierał się tej misji pobożnej. Panią Kogutkową zestrachaną z chałupy chłopcy wywlekli i na środek wsi przyprowadzili. Płakała nieboga, rękami piersi zakrywała, kuliła się cała, męża w desperacji swego wołając. A gdy pierwsze dłonie brudne, z połamanymi paznokciami w jej kierunku się wyciągnęły, by jej fałdy spódnicy unieść w górę, hen – wysoko, nagle pan Kogutek do niej doskoczył, biegnąc z nicości życia swego.

– Szatan babie siedzi pod spódnicą, do łona jej włazi, diabelskie nasienie wewnątrz zostawia! – wrzasnął sołtys oskarżycielsko, lecz oto Kogutek jednym susem pod spódnicą żoniną się znalazł, zmitrężył tam chwil kilka, a potem z wnętrza falban z uśmiechem się wynurzył – trzymając w dłoniach kotka małego czarnego.

– Dyc tam siedziała ino zwierzyna taka mileńka, niegroźna przecie! Nie żaden diabeł rozczochrany! – wyjaśnił gapiom, co to stali z ustami rozdziawionymi bezmyślnie.

– Amen! – odpowiedział głośno, z wyraźną ulgą proboszcz i do Kogutka z kotkiem w objęciach porozumiewawczo mrugnął. On to bowiem na koncept wpadł taki ze zwierzakiem, chcąc parafiankę swoją od sromoty wiejskiej wybawić, a i cnotę jej zachować na wieczną rzeczy pamiątkę. Wykoncypował zatem, żeby kotka jej tam podrzucić czarnego, który byłby wytłumaczeniem dziwacznych podskoków i oberków owej spódnicy niewieściej. Odtąd już nikt jej czarownicą nie mianował, pod spódnicą nie gmerał – ni ogona diabelskiego przy zapasce nie wypatrywał.

GENOWEFA ŚWIATŁOŃ
godło: „Ochodzita”

wyróżnienie drukiem w dziedzinie
prozy



GENOWEFA ŚWIATŁOŃ – emerytka. Pracuje społecznie w Radzie Jednostki Pomocniczej w swojej dzielnicy. W roku 2014 otrzymała nagrodę Burmistrza Nałęczowa w konkursie organizowanym przez Muzeum Żeromskiego w Nałęczowie. Laureatka III nagrody w dziedzinie prozy XX edycji „Krajobrazów Słowa”.

MIMO ŻE TĄPNĘŁO...

Mimo woli zwracali uwagę zgromadzonych: on na wózku inwalidzkim może nieco ponad czterdziestkę, chociaż trudno ocenić wiek człowieka o twarzy w bliznach i głowie jakby sprasowanej. Obok niego młoda kobieta z chłopczykiem tak na oko około czteroletnim. Dziecko ruchliwe, nieco znudzone ceremonią szukało sobie rozrywki to siadając na wózku, to próbując wózek popychać. Posadzony przez matkę obok nóg mężczyzny, szybko zesekaliwał, by szukać innego punktu zaczepienia. Wreszcie znalazł sobie cel obserwacji, bo siwowłosa kobieta w wieku „babcinym” stojąca obok świadomie zaczęła przekładać parasolkę z ręki do ręki, by dziecko dostrzegło wisiorek przyczepiony do rączki. Malec w mig znalazł się przy niej i zaczął oglądać ze wszystkich stron, po czym zapytał, sepleniąc: „skąd to maś, to ci dał?”. Gdy kobieta położyła palec na ustach, pytał dalej: „ciemu nie mówisz?”. Chyba tych dwoje było przyzwyczajonych do ruchliwości dziecka, traktując ową chwilę na nabożeństwie jako rzadką okazję wyciszenia. Ale nie za długo, bo małemu w czasie wygibasów wyleciały z kieszonki spodni jakieś drobniaki. Krzyknął: „o kurce blade, moje! Nie lusaj!”. I pozbierawszy, zaczął je przekładać to do jednej to do drugiej kieszeni. „Na lody, to na lody, mam na lody” – zaintonował do wtóru śpiewającym maryjną litanię, znów wyszukując punktu wartego dziecięcej obserwacji. Jakies dwie pozujące na świątobliwe o twarzach Baby Jagi z baśni o Jasiu i Małgosi siedzące niedaleko na ławce zaczęły sykać i przyganiać, kręcąc wymownie głowami. Matka złapała małego za szelki i bez słowa posadziła na podeście obok stóp mężczyzny. Mały z intuicją jakiejś mógłby pozazdrościć najlepszy detektyw zorientował się, kto sprawił, że go tak nagle usadzono, szybko odplacił pięknym za nadobne, strzelając wzrokiem jak z procy w kierunku świętoszek, mówiąc: „nie lubię cię, jesteś brzydka! Ty też brzydka. Nie wezmę cię na lody”. Matka, rumieniąc się, spuściła głowę, ale gdy ją podniosła, jej twarz wydała mi się znajoma.

Skąd ją znam? Z poradni? Chyba nie. Jego widzę po raz pierwszy. Mój umysł zaczął dokonywać przeglądu zdarzeń, miejsc, ludzi i różnych okoliczności. Obecność swawolnego Dyzia, który – zauważywszy bandaż na czyjejs nodze – jednym skokiem znalazł się przy tej osobie, demonstrując nieprzepartą ochotę dokonania oględzin nie wiadomo czy klamerek spinających opatrunków, czy może i tego, co pod opatrunkiem, przeszkadzała w odnalezieniu głębi w treści homilii, a prowokowała do rozwiązania zagadki. Kobieta jakby odgadła moje myśli. Gdy zaniepokojona chwilową ciszą spojrzała w kierunku dziecka, nasze oczy się spotkały. Zrobiła ruch jakby chciała iść po dziecko, ale widząc uspokajający gest pani z opatrunkiem, zaniechała interwencji. Uśmiechnęła się niepewnie. Tak. Znam ten uśmiech. Już kiedyś zorientowałam się, że to jej gra. Pod nim skrywa czujność, maskuje prawdziwe przeżycia. Uśmiecha się, mimo że wewnętrznie jest spięta, zmęczona nieustającym czuwaniem. Gdzie i kiedy mogłam ją spotkać? Nim zdążyłam pomyśleć, słyszałam szept małego, który teraz zadawał kolejno rzetelne pytania: „boli cie, tępnęło ci w node, dzie, na topalni?”.

I nagle przebłysk. Kopalnia. Zawał! Wiem. To było w sądzie. Gdy chcieliśmy z drugą ławniczką zajrzeć do akt przed rozprawą, sędzia położył na nich rękę i powiedział: Lepiej byście tych zdjęć nie oglądały. Zreferuję paniom. Mamy trudną sprawę. Miałem te materiały w domu. Nie mogłem potem usnąć...Westchnął ciężko.

Za chwilę, mając skład w komplecie, zwrócił się do protokolantki: „prosić do sprawy...”. Mimowolnie z drugą ławniczką poprawiliśmy togi i przyjęły pozycję: „słuchamy”.

Życie to gra. Zmuszać się do ciągłej gry, to zmuszać się do stałej czujności. Ciągłe maskowanie nie przynosi satysfakcji, ale jest potrzebne, gdy gra toczy się w imię sprawy teraz najważniejszej. Przybrać maskę, na zewnątrz się uśmiechać, wątpić ale nie pozwolić wątpić jemu, odpowiadać gotowością na zawołanie o pomoc, ale starać się uczyć samodzielności, by nie padać z utrudzenia – to potrzebna gra. I nie dać się złapać na tej grze. Pod taką maską stara się ukryć, nie zdradzić przed bliskimi swego zwątpienia. Czy to dobry sposób na ochronę jego, córek i siebie? Z takiego zamyślenia wyrwał kobietę siedzącą przed salą rozpraw głos protokolantki.

Młoda kobieta weszła nerwowym krokiem. Usiadła na brzegu ławki, niepewna czy powinna, bo może należy stać? Jej wzrok nieco roz-

biegany świadczył o źle maskowanym niepokoju. Czemu ona musi być tu, w tej sali? Zachowywała się jakby znalazła się przez pomyłkę.

Oficjalny ton głosu sędziego ponownie zmotywowował wszystkich do skupienia.

– Sprawa o rentę wyrównawczą. Za powoda Marka B. staje żona, Marzena B., pełnomocnictwo w aktach, przeciwko kopalni... i tu wymienił nazwę. Za Pozwaną radca prawny, Bogusław B. Pełnomocnictwo w aktach. Proszę podejść bliżej, do barierki.

Młoda kobieta wstała powoli, jak obarczona ciężarem ponad siły. Podeszła, pokazała dowód ze zdjęciem promiennej dziewczyny, jaką zapewne niedawno jeszcze była. Na jej twarzy błąkał się nieśmiały uśmiech, ale w oczach pojawiły się łzy. I znów rutynowe pytania.

– Jak się pani nazywa?

– Kim pani jest dla powoda?

– Ile ma pani lat, wykształcenie?

– Karana za składanie fałszywych zeznań?

„Bez zaprzysiężenia” – to pytanie w stronę, gdzie siedzi pełnomocnik Pozwanej. „Bez” – pada szybka, zdecydowana odpowiedź i następują kolejne pytania mające dać obraz tragicznego wypadku. Zeznająca jest żoną trzydziestopięcioletniego górnika – ratownika, który w czasie akcji uległ trwałemu kalectwu. Mówiąc, stara się powstrzymać łzy zbierające się pod powiekami, ale wszystkim udziela się jej tragedia, gdy przedstawia zdarzenia z jesiennego poranka, który miał być takim samym, jak wiele innych. Niestety, nie był.

Wspomina jak dowiedziawszy się, że jeden zginął na dole, zamarła z przerażenia. Bo każdy to ktoś bliski. Zwykle pracowali na tej samej zmianie, razem jeździli na ryby, chodzili po górach. Mimo woli pojawiają się dygresje, jak irytujące są slogany, zwłaszcza z nachalnie powtarzających się tych samych materiałów telewizyjnych, że do akcji użyto najlepszego sprzętu. Ona wie, że ten nowoczesny sprzęt, to w wielu sytuacjach głównie ręce, doświadczenie i intuicja ratowników. Dowiadujemy się, jak rozdzwaniały się telefony, bo rodziny pytały natarczywie, kto wyjechał lub kogo wywieziono, bo drudzy może wiedzą coś więcej. Byłe odegnąć złe myśli, uciszyć kołatanie w piersi, opanować skurcze żołądka zmuszające do skłonu w przód. Nie płakać, wytrzymać, nie mówić jeszcze dzieciom. Ustrzec, ustrzec jak najdłużej, nie odbierać nadziei. Bo jak to? Już miałoby się skończyć ich

wspólne życie, które niedawno się zaczęło? Czy ma mówić, jak modliła się, by wytransportowali go z dołu żywego? Pomiędzy odpowiedziami pamięć przywołuje wspomnienia, jak udało jej się przypomnieć nazwisko lekarza, także zapalonego rybaka. Czy to nie znak losu, że akurat kończył nocny dyżur i po jej telefonie prosto ze szpitala przyjechał pod kopalnię?

– Zajmij się, gdy go wywiozą. Niech będzie kaleki, ale niech żyje! Weź go do siebie na oddział. Boże spraw, aby żył!

I została wysłuchana.

Sędzia, ucinający zwykle rozległe dygresje, tylko od czasu do czasu matowym głosem zadaje kolejne pytania.

Kobieta odtwarza obraz dni, miesięcy, które są już za nią. To wygrana walka o życie. Najpierw szpital, jeden, drugi, potem tygodnie rehabilitacji w kolejnym, wreszcie gorzka prawda. „Takie uszkodzenie nie naprawi się. Kręgosłup to nie liść na drzewie, proszę pani, musi to pani przekazać mężowi” – powiedział młody lekarz, dając jej wypis do ręki. Sam, pewnie napompowany wiedzą książkową, nie miał odwagi spojrzeć w oczy człowiekowi, którego potraktował jakby był spisany na straty.

I powrót do domu człowieka nie tylko z uszkodzonym kręgosłupem winnym paraliżu od pasa w dół, ale ze złamanym życiem, które na nowo trzeba poukładać. Także o tym, jak dziewczynki, czekające na powrót ojca, zaczęły spazmatycznie płakać, widząc go z zabandażowaną twarzą leżącego na ogromnym wózku. Przecież spodziewały się taty, który weźmie na ręce, podrzuci do góry obie naraz. I znów słyszymy opowieść, jak nakładają się problemy. „Jakie” – pyta sędzia. Starsza córka zaczęła się jękać i... moczyć. Może mieć to związek z wypadkiem. W myśli przytakujemy.

Czyżby je zaniedbywała? Czy dziecko tak mogło przejąć się tym, co dawniej ojciec mówił na dobranoc; o opiekujących się górnikami podziemnych duszkach. Co złego zrobiła, że te duszki ukarały jej tatę? Co złego zrobił tata, że kopalniane duszki nie schroniły go w bezpiecznym miejscu?

Czy może być prawdą, że dziewczynka obwinia się teraz? Przecież mogło być gorzej, bo chłopiec, którego ojciec zginał, wciąż budzi się z krzykiem: „dajcie mi łopatę, łopatę. Muszę iść, odkopać tatę!”. Ostatnio wyskoczył z klasy z krzykiem: „Idę po łopatę!”

Może choć trochę ustrzegła córki, bo w porę schowała przewód od telewizora i wyłączyła radio, by nie docierały Hiobowe wieści! „Tego nie idzie słuchać” – irytował się zwykle mąż, słysząc dziennikarskie relacje z akcji ratunkowych. „Gadają bzdury, buzuja, podkrecają, bo chcą mieć oglądalność” – wyłączał telewizor, starając się być gotowym do akcji, gdyby zadzwonił telefon. Po tym wypadku zrobiła to samo. Niedawno sąsiadka opowiedziała jej, co młodsza córka mówiła tuż po tragicznym zdarzeniu; będziemy mieć braciszka, bo tatuś jest w szpitalu. Mamusia urodziła nas, dziewczynki, a tatuś urodzi braciszka. Tylko czy mamusia nie chce tego dzidziusia? Czemu wciąż płacze?

Czyżby dziecko słyszało ich przekomarzanie, gdy mąż mówił, że chciałby jeszcze synka. To idź, urodź sobie, odpowiadała żartem.

Czy ma czas na rozpacz? Skąd wzięłaby siły na szukanie ratunku u lekarzy, rehabilitantów, ziołarzy... Żona górnika powinna przewidzieć wiele, powinna się liczyć z najgorszym, które zawsze przychodzi nie w porę. Ale gdy tli się życie w człowieku, musi walczyć, by podtrzymać tę nić. Ta walka zmieniała ją, oduczyla rozczulania nad własną dolą. Od dziecka miała pod górkę. W domu rodzinnym ona chodziła szukać ojca, gdy gdzieś się zawieruszył. Żadna z siostr nie odważyłaby się wejść do knajpy, odszukać w zmroku kiwającego się lub popłakującego nad kuflem, setą i śledziem ojca, gdy często trzeba było znaleźć argument także przeciw tym, którzy za dyshonor mieli przywoływanie do porządku chłopca przez babę, a tym bardziej przez „tako smarkula”. Więc teraz szkoda czasu na myślenie o tym, kto i jak interpretuje jej zachowanie.

Czy nadal wytrzyma tę grę, skoro ciosy padają z najmniej spodziewanej strony: mąż – do tej pory człowiek, z którym rozumiała się w pół słowa – teraz atakuje zmiennymi nastrojami, złością, zazdrością. Wali jak cieślą swoimi chorobliwymi urojeniami w nią, najbliższą, bezradną, bezbronną. Cierpliwą może aż zanadto? Może powinna być zła? Tak mówi też Antoni: „łostow go, nie nadskakuj. Zrób tyju do termosy, niech sięgnie i się naleje do blaszoka. Poredzi! Poredzi”. powtarzał nieraz. „Ty się chopie musisz wyrobić tako komasacja miyśni” – powiedział młodszemu koledze, który chyba jego jednego teraz tolerował. „Rynce mosz zdrowe, gowa tyż. Mosz się zbierać do kupy!”. „Po co” – odpowiadał pytaniem leżący. „Byś durch nie leżoł, coby tyn kloc na wyrku”.

Może to ona nie potrafi być konsekwentna? Ma depresję, tłumaczy sobie. I znów przygotowuje wywary na sen, na przemywanie odpadzeń, na poprawę nastroju.... I w takim kieracie się obraca. Ile to już miesięcy?

I znów kolejna wyprawa na komisję lekarską. Niedobrze. Orzecznik powtórzył niemal to samo, co ten młody w szpitalu: trwała niezdolność do pracy. Załatwajcie państwo rentę. Od tej pory mąż nie chce słyszeć o żadnej rehabilitacji. Po co, skoro nic się nie da zrobić. Z retrospekcyjnych przemyśleń znów wyrывa ją głos sędziego:

– Czyli ma pani środki do życia?

– W jakiej wysokości?

„Skończył się zasiłek chorobowy” – pada odpowiedź. – „Nie, nie pracuję. Teraz nie pracuję, musiałam się zwolnić, bo dzieci i mąż. Żyjemy z renty...”.

– W jakiej wysokości?

Pierwsza myśl; to nie tak mało! Szybko dzielę przez cztery, dodaję w pamięci przypuszczalne wydatki: benzyna, czynsz, telefon, leki. Nim zdążę wyciągnąć wniosek, słyszę szept drugiego ławnika: za te pieniądze można jakoś wyżyć w czwórkę, ale leczyć się? Niemożliwe! Opatrunki! Wszystko płatne sto procent!!!

Ale czy tylko o pieniądze chodzi? Przecież mówiła o pieluchach. Trzydzieści pięć lat i pieluchy! – piszę na kartce i dyskretnie pokazuję sędziemu. Dotarło do nas, czego nie powiedziała, że w jednej chwili w jakiś grudniowy dzień młody człowiek przestaje być mężczyzną!

Sędzia zamyśla się, by po chwili zadać kolejne pytanie.

Gdy minęło kilka miesięcy, zaczęła dostrzegać pustkę wokół siebie. Coraz trudniej znaleźć kogoś, kto podwiózłby ich na rehabilitację, coraz niechętniej rozmawiają z nią w kopalni, która niedługo ma pójść do likwidacji. Pewnie jeszcze trudniej będzie o jakąkolwiek pomoc. Już teraz ma wrażenie, że patrzą z wyrzutem. Czuję się jakbym żebrała, mówi mimo woli. A ja tylko chcę postawić go na nogi... W obecnej sytuacji nie dam rady.

– Nie mają państwo samochodu?

– Mamy tico, słyszymy odpowiedź. Dawniej nam starczał. Wszędzie było blisko. Teraz jest niewystarczający. Wózka się nie wstawi. Nie ma kto prowadzić. Nie mam pieniędzy, by iść na kurs. Muszę prosić sąsiadów. Mąż się złości!!!

Nim sędzia zdążył zadać kolejne pytanie, kobieta stojąca za barierką mówi o tym, jak to, co miało być zaletą, okazało się udręką: mieszkanie na osiedlu górniczym, blisko kopalni, w blokowisku na piętrze! Bez windy. Jak znieść, a potem wnieść dorosłego mężczyznę. Jak przemieszczać się na pięćdziesięciu metrach niezgrabnym wózkiem!

Projektant nie pomyślał, że mieszkania w blokach powinny być dostosowane do potrzeb mieszkańców, którzy wprowadzą się jako młodzi i zdrowi, a z upływem czasu mogą potrzebować łóżka na kółkach i windy. Dlatego te „em cztery”, „em pięć” pokazywane niegdyś w telewizji jako symbol luksusu, mają tyle wad.

– Czy ktoś pani pomaga?

– Tak, najczęściej Antoni.

– Kto?

– Antoni, dawny strzałowy, już nie pracuje, jest na emeryturze. Mieszka pod nami, na parterze.

To ten, który w dzień wesela powiedział do jej męża: „ty aleś miał kupa szczynsćio, synek, żeś tako dziółcha naloz”.

„To ona mu się oświadczyła” – zaśmiał się inny. „Jak go mazła bez...” – nie dopowiedział ten, który znał okoliczności ich poznania. A było to w pociągu, gdy obaj – to znaczy ten, który zginął – i jej mąż jechali na polowanie, a ona tym samym pociągiem wracała z pracy. Nie знаła wówczas zwyczaju, a nawet gdyby знаła, czy nie zareagowałyby tak samo? Gdy młodzi mężczyźni zagadywali ją w podróży, odpowiadała uśmiechem lub milczeniem. Ale gdy jeden z nich, zbierając się do wysiadania, chwycił ją za kolano, trzasnęła go w policzek, nim zdążył powiedzieć, że to tylko myśliwski zwyczaj, by mieć szczęście na polowaniu.

Dziś, gdy czekała przed salą rozpraw, przypomniła sobie i inne okoliczności z ich wspólnego życia. Pamięć przywołała to, co powiedział do niej Anton składając im życzenia w dniu ślubu: „dziółszka, wydałaś się na dobre i złe. Pamiytoj! W życi ni ma stale z górki. Jak dobrze to i w pajcie o krupicznioku setnie dobrze. Ale jak tąpnie!!!”. Tknęło ją coś, zasmuciła się, ale mąż objął ją, mówiąc: „nie słuchaj, to Anton. On jest spod Ochodžitej, rzewliwy. Dziś trochę sobie wypił. Rozkleił się. Niby kawaler, a jak wdowiec. Mówią o nim, że jakby był dwa razy umarty. Przódzi umarła mu Trudka”. Mąż mimo woli zaczął mówić gwarą, co zdarzało się wówczas, gdy był czymś przejęty. Wi-

dać chciał życzenia Antoniego obrócić w żart, ale i on posmutniał. Też wzięło go na wspominki. I kolejny raz zaczął opowiadać, jak mieli zaproszenia na wesele, a poszli na pogrzeb niedoszłej panny młodej, która z niewiadomego do końca powodu zapadła w śpiączkę i odeszła na zawsze. Od tej pory Anton, chociaż perswadował sobie „takie przeznaczeni”, jakby zaczął usypiać od wewnątrz. Dziwili się kamraci, skąd wytrzasnął napis, który kazał wyryć na nagrobku Trudy: „Jest taka miłość, która nie umiera, choć zakochani odchodzą od siebie”. Umiał na pamięć cały utwór.

Potem na kopalni był zawał...

Doszli do niego, wyciągnęli, ale po tym Anton był już jakby tylko półobecny. Coraz częściej przypominał sobie ten wiersz, recytował, a łzy mu spływały po policzkach.

Czy więc Anton przeczuwał, co może przytrafić się im, patrząc na nich w dniu dla nich szczęśliwym, w dniu wesela?

Czemu tąpnięcie przyszło tak szybko i to w rozmiarach ponad siły trzydziestoletniej kobiety?

Gdy po wypadku w jakiejś rozmowie z Antonim wyrwało jej się: „gdybym przewidziała, że przed trzydziestką zostanę z dwójką dzieci i sparaliżowanym mężem, to bym chyba od ołtarza uciekła”, odrzekł z przyganą, ale i siłą: „nadzieji! Jei się trzym! Póki tli się życi...”.

I tu na tej sali sędzia w którymś momencie dodał:

„medycyna się rozwija. Może przyjdzie lepszy czas, nie trzeba tracić wiary...”.

Jego słowa prostują na chwilę plecy młodej kobiety. Wydaje się wyższa, a uśmiech na twarzy prawdziwszy. Wszystko na krótko. Sąd musi oprzeć się na dokumentach, ktoś czegoś nie dopełnił, więc wkrótce kolejna rozprawa.

Wyszła wolnym krokiem, grać dalej, by dźwigać samotnie to, co jej pisane.

Przed budynkiem sądu czekał Anton. „Padze. Dziolszka, dbej o siebie” – powiedział z przyganą. – „Łon się tam doma nerwuje, co ty bez ambreli”. W tej chwili poczuła się szczęśliwa, jakby kropla miodu spadła jej na serce. Może w tej walce nie jest sama, jak się jej nieraz wydaje. Może warto kierować nurt rzeki tego pokaleczonego życia w lepszym kierunku? Może minął okres tąpnięć i burz i będzie teraz z górki? Jakby na potwierdzenie słońce przebiło się przez chmury.

Tę zapamiętaną kobietę rozpoznałam po kilku latach w majowe późne popołudnie na placu przykościelnym przed grotą Matki Boskiej. Zmęczoną, ale wyciszoną. Stała obok mężczyzny na wózku, a oczy miała skierowane na ruchliwego chłopczyka, któremu wyraźnie było za długo i pomiędzy różnymi wygibasami i zajęciami, które sobie znajdował, niestrudzenie zadawał pytania: „Toniec? Jedziemy?”. I usiłował dotykać przycisków, by uruchomić wózek. „Pójdziemy, gdy ksiądz powie – idźcie, ofiara...” – próbował, jękając się nieco, szeptem uspokoić malca mężczyzna siedzący na wózku. Nie zdążył dokończyć, gdy ten mały szybki jak iskierka wrzasnął na cały głos: „do domu nie, do domu nie! Na lody! Tupie ci lody, tato” i wskoczył na kółka wózka inwalidzkiego, by ucałować w policzek mężczyznę ze śladami poparzeń na zdeformowanej twarzy. A z kieszonki znów poleciały drobniki. I znów wyrwało mu się: „o kurce blade”.

MACIEJ ZDZIARSKI
godło: „Obserwator ptaków”



I nagroda w dziedzinie poezji

MACIEJ ZDZIARSKI – urodzony w 1979 r., dziennikarz i działacz społeczny, absolwent Wydziału Nauk Historycznych i Społecznych Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie. W latach 90. dziennikarz Radia Zachód i Trójki, a następnie wiceprezes Stowarzyszenia Producentów i Dziennikarzy Radiowych (2000–2006). Członek zarządu i redaktor naczelny Radia Kraków (2006–2008), do 2011 r. publicysta stacji. Przewodniczący Rady Programowej Radia Merkury SA (2008–2011). Prowadził programy publicystyczne w TVP1 i TVPinfo (2007–2010). Od roku 2012 prezes Fundacji „Instytut Łukasiewicza”. Jest autorem książek z zakresu gerontologii społecznej. Jako poeta debiutował tomikiem „Taka niespokojność” (1993), wydał także zbiór „Nie dbam, czy ktoś zgadnie, dlaczego tak robię” (1996).

ODDYCHANIE

Rozkosz, której doświadcza sunący pod wodą
Szczeniak – lat dziesięć, blondyn – gdy wychyla głowę,
zachwycając publiczność (klaszcze klub aktywnych
seniorek na basenie); wymach ramion, plusk, wdech,
zanurzenie i wydech. Ten rodzaj rozkoszy,

gdy widzą chłopca, tli się w damach z klubu, w trzewiach
siedemdziesięcioletnich pań, karnie złączonych
w rząd za granicą z boi: *aqua-aerobik –
lek na chandrę, ból w stawach, nogi i kręgosłup,
problemy z zasypianiem*. Ten rodzaj rozkoszy

śni się chłopcu nad ranem, nazajutrz po lekcji
ustawiania oddechu; w wodzie pewny, lecz drży
pod naporem wzroku pań, gdy nad ich podziwem:
„ach, całkiem jak mój wnuczek!” bierze górę protest:
„nie rań mnie, czasie, nie rań!”. Ten rodzaj rozkoszy

drwi z ciał starych kobiet, z ich obwisłych piersi, z ud
zgrubiałych, nieforemnych; nawet ze starania,
by w rytm piosenki granej z płyty kompaktowej
machać rękami, skręcać tułów w lewo, w prawo,
na rozkaz instruktorki. Ten rodzaj rozkoszy

ćmi do utraty tchu, bez przerw, na przekór próbom
ponawianym co tydzień: *aqua-aerobik –
lek na chandrę, ból w stawach, nogi i kręgosłup,
problemy z zasypianiem*; chłopiec wynurza się,
celebryje tę rozkosz, łapie długi oddech.

APOKRYF

Mówiono, że przystawał pod oknami śpiących,
zanim poznali czym jest strach chorych na raka
albo płacz panny młodej, porzuconej w progu
kościoła. Wchodził między blade kręgi latarni,

by stamtąd obserwować. Później, już w pełnym świetle,
przyglądał się podróżom do pracy, do szkoły,
nierozpoznany usiadł w autobusie, widział
jak słońce kreśli koła nad głowami dzieci

biegnących przez plac zabaw wprost w ramiona ojców,
aż do rozczarowania. Opowiadano, że
wyjechał z miasta nagle, milcząc, bez wyjaśnień.

Nikt nie zapisał żadnej przypowieści, tylko
stugębna plotka, której nie dawano wiary,
głosiła, że nadejdzie ponownie, po czasie.

JESIEŃ GABO

Gabriel García Márquez
cierpi na demencję.

Dzwoni do brata,
żeby zapytać
o najprostsze sprawy.

Pułkownicy i dyktatorzy
wyemigrowali
bez wizy powrotnej.

Czytelnicy jak mrówki
biegają po kartach książek.

Świat upomina się
o zapomnienie,
o niepamięć.

W POCZEKALNI

Radość bycia wybranym spośród wielu osób,
to wyróżnienie w tłumie, ten szczególny sposób
zakończenia podróży: w poczekalni stoi
kierowca w garniturze, z tabliczką z nazwiskiem
i z uprzejmą formułką: „witamy u celu”;
te same, w różnych miastach, w drodze do hotelu,

rozmowy o pogodzie, prowadzone z wprawą
godną ambasadora; jakby ważną sprawą
było pochwalić aurę, zanim w martwej ciszy,
mknąc pasem autostrady, po kilku zakrętach
wychodzi się na prostą, wprost do drzwi hotelu;
to samo przygnębienie, że skoro u celu

czeka, ten sam co zawsze, obrazek z Ikei
zawieszony nad łóżkiem, nie ma już nadziei
na odmienny krajobraz. Wychodząc do miasta
zauważyć żebraka i z wprawą mu wrzucić
monetę do koszyka; nie dostrzec w tym celu
innego niż współczucie dla siebie; w hotelu,

zawiesiwszy tabliczkę: „proszę nie przeszkadzać”,
zasnąć; nic nie odczuwać; ten sam raport składać
pod kolejnym obrazkiem, przed następną prostą,
już u kresu podróży; w poczekalni stoi
kierowca w garniturze; w drodze do hotelu
ten sam żal, że na próżno wszystko i bez celu

CIENKIE SZKŁO

Kocha śnieg w Alpach, piasek lazuruwej plaży,
wygody klasy biznes, smak wina w Paryżu.
Wielbi kobiety, walki bokserskie, operę,

wyścigi psich zastępów. Prawdziwy król życia,
dziedzic rodowych sreber, kont i posiadłości.
Znad „Księgi niepokoju” nie podnosi głowy,

gdy podkreśla linijki, jakby sam je pisał:
*Pomiędzy mną a życiem jest cienkie szkło** albo:
Choćbym wyraźnie widział i rozumiał życie,

*nie mogę go dotknąć**. Tak, to melancholia
bogactwa, niepojęta dla wrogów wyzysku,
dla wiecowych mówców, co z wysokiej trybuny

nie zobaczą równości smutku. Sprawiedliwość,
gdyby potrzebowała reklamy, powinna
zatrudnić go, postawić w świetle reflektorów:

„Zobaczcie: niespokojny bogacz, pełen lęku!”.
Śmierdzący żebrak, jeśli ma dość wyobraźni,
*oddalony od drogi** współczuje mu losu.

*Dotarłem do próżnego kresu** – czyta w księdze.
Stoi na wzgórzu; już wie, że mur z cienkiego szkła
nie rozpadnie się, jak chciał, na milion kawałków.

*Fernando Pessoa „Księga niepokoju”

DOROTA RYST
godło: „etażerka”

II nagroda w dziedzinie poezji



DOROTA RYST – absolwentka Wydziału Polonistyki Uniwersytetu Warszawskiego. Wydała 5 autorskich tomików poezji: „Odmiana przez przypadki” (1999), „widoczki. wiersze bezwstydné” (2005), „czasunek” (2009), „Punkty przecięcia” (2011) i „Część planu” (2014). Jest jednym z założycieli Stowarzyszenia Salon Literacki zajmującego się popularyzacją i promocją polskiej poezji (pełni funkcję zastępcy prezesa). Organizuje i prowadzi warsztaty i spotkania poetyckie. Od roku 2010 jest redaktorem naczelnym Internetowej Gazety Kulturalnej „Salon Literacki” i jednym z redaktorów Serii Wydawniczej Salonu Literackiego. Mieszka w Warszawie.

PAŹDZIERNIKOWE ODLOTY

jest 13.45. koniec października. pochmurny
czwartek. ryszard s. siada na fotelu
fryzjerki w miasteczku w. świat zmienia się. coraz krótsze
dni. jak zwykle o tej porze. coraz krótsze

włosy ryszarda s. nierównomiernie pokrywają
podłogę. pomoc fryzjerska andżelika (nie znamy
nawet pierwszej litery nazwiska) wyciąga miotłę
i powoli zmiata z posadzki ciemne skrawki. myśli

że męski jest tylko fryzjer w tym pieprzonym miasteczku.

KOPALNIA ODKRYWKOWA

*elektrownia pątnów zużywa osiem tysięcy ton węgla
na dobę. rozmowa się nie klei. na szczęście
ty kleisz się do mnie. mówisz za czterdzieści lat
ten dół wypełni woda. wilgoć. mówisz coś jeszcze
o metodzie odkrywkowej. a ja widzę
staruszkę w kostiumie kąpielowym. skaczemy
na główkę.*

GRA

zawsze tęskni się do tego czego się nie wybrało
B. Zadura, „Chcesz jechać w prawo skręć w lewo”

te wszystkie letnie popołudnia zimowe wieczory i inne
pory roku które rosną w naszych ustach jak kradziony chleb.
dieta glutenowa to jedyne wyjście bezawaryjne. *exit*
świeci nad drzwiami ciemnego niepokoju jak gwiazda

polarna. zimno ciepło. gramy online. to *prosta zabawa*
grupowa, która idealnie nadaje się na wszelkie imprezy.
lepsza niż gra w berka. zostałeś wybrany. uciekasz. trafiasz
do spamu. sny są słone. przejrzałe pomarańcze nie smakują. słodko

i pięknie nie umiera się za nic.

PIOSENKA DUŻYCH CHŁOPCÓW

*I wanna know what love is
I want you to show me*
z piosenki zespołu Foreigner

jak byłem mały to pokazywałem a teraz się wstydzę. wystawiasz język
zlizujesz pierwszą kroplę. duzi chłopcy szybko rozwiązują
problemy językowe. wchodzą mocniej. zostawiają
ślady. kilka zgłosek. miękkie twarde. gardłowe

r trafia prosto w punkt. wszystko sprowadza się do środka
wyrazu jakim jest onomatopeja. głos wznosi się. potem opada
wszystko. na sen puszczasz z komórki stary przebój *foreigner*.
pokazałeś czym jest miłość. zasypiasz spokojnie wtulony
w sofizmaty.

REKOLEKCJE OTWOCKIE

*I patrz, tyle myślałem o tym,
a to się samo kończy.*
P. Sommer, „Notes otwocki”

tylko nie pozwól żebym tam umarła. nie tam
powtarzam. a ty śmiesz się ze mnie. też się śmieję. podobno
to dobrze umieć tak z siebie. miasteczko o. gdzieś między
świdrem
a nieskończonością. nawet wiersz o nim nie może się udać

bo kto jeszcze w wierszach pisze o nieskończoności. powtarzasz
że znam je za mało. mówię że wystarczy. stacja droga
do dwóch szpitali urząd w którym wystawiają akty zgonu i *Exitus*.
zakład
pogrzebowy *full service*. brzmi jak kiepski dowcip. zakład

przyjęty. przejęta jadę trzęsącym podmiejskim.
jakby nie wystarczyło że znów grudzień ścina powoli
wszystko. samo się skończyło. może samo się zacznie.

KATARZYNA KOWALEWSKA
godło: „Brzytwa”

III nagroda w dziedzinie poezji



KATARZYNA KOWALEWSKA – urodziła się 8 października 1972 r. w Nysie. Jest magistrem politologii, ukończyła także studia doktoranckie na Wydziale Nauk Społecznych Uniwersytetu Wrocławskiego oraz podyplomowe studia PR. Była członkiem awangardowego teatru studenckiego TUBB2. Pracowała w Międzynarodowym Instytucie Malarstwa (AIS, Amsterdam), napisała i współtworzyła program telewizyjny (dla ATV Olivier Jansen Production, Amsterdam). Organizowała autorskie wieczory artystyczne, była tłumaczką, modelką. Po powrocie do Polski w 2000 r. została dziennikarką „Gazety Wyborczej”, redaktorem ilustrowanego czasopisma, matką, a następnie redaktorem naczelną kolorowego magazynu z wyższej półki. W roku 2007 założyła Pracownię Słowa i Obrazu „Passion”, zajmując się organizowaniem wydarzeń kulturalnych, PR i reklamą. W roku 2011 uległa wypadkowi, który znacznie pogorszył jej stan zdrowia. Od tego czasu nie pracuje, wychowuje córkę Mabell i pisze wiersze. Mieszka w małej chatce pod lasem w okolicach Warki.

W BIAŁYCH RĘKAWICZKACH

znów od początku, jak lunatyk
wynoszę rozdarte wnętrza.
zbyt dużo zerwanych linii,
by udźwignąć podręczny bagaż:
z naparem ziół i kondolencjami,
jak odbicie w błocie – życiorys.

miejsce po stracie chowam w szafie
z naftaliną. nie wiem, gdzie ją postawię.
może koło tej figurki Matki Bolejącej,
osiwiałej przed powrotem.

spójrz mamó: jak ładnie układam zabawki,
buty i szklane kule w porządku M-kwadrat.
tu w kąciku ust będzie uśmiech dla much,
dla psychoterapeutki – dno oczu
i soda. kończę prace wewnętrzne,
budząc się w stanie deweloperskim,
bez białego osadu.
teraz łykam inne proszki,
w coraz większych ilościach.
ze spacją w pamięci,
tłumaczę nieobecność zmarłych.
ich ślepy pies ciągle za mną biega
i pada pod oknem jak cień,
co jest wcieleniem kobiety.

a ty patrzysz na mnie córko i dziwisz się:
dlaczego jestem taka pracowita?
po co przedstawiam wiosny na zimy?
dla dezynfekcji kochana, bo lód ścina
całe plugastwo krwi.

a w mojej głowie, mojej głowie?!

jest za tłoczno,
brakuje miejsca na otwór,
którym mogłabym wsypać truciznę.

kto mi odstąpi połowę zatrutego jabłka?
kilka miejscówek w sanatorium,
z miękką odprawą i gumowymi klamkami?
tam czeka na mnie prezent,
opakowany w błękitne światło,
trud czuwania ze spadaniem w tle.

budzę się, to dzieje się naprawdę.
związana pustymi rękami tworzę.
oto ulica o wielu twarzach i imionach:
wiję się, pełzną, sapię, spieszę się, dopadam,
odgryzam, odpłacam, rosnę, owocuję, gniję.
tu i teraz – wreszcie mogę zasnąć
w łóżku, które przeniosłam, jak sen w śnie.

pod szklaną podłogą
szczurzy pęd.

ZAPACH GORZKICH MIGDAŁÓW

palony zapach gorzkich migdałów przywołuje toksyczną bliskość.
już w progu
tonącego w ciemnościach domu – przeczuwamy nieuniknione
– męczarnie w sieci,
w oparach cyjanku, w fałszywym blasku złota – duszne, zagracone
pomieszczenie,
sprofanowane sanktuarium służące za sypialnię, z którego co noc
wyzwała nas świt,
ta odrobina światła, wpadająca przez otwarte okno, by od razu
rozpoznać śmierć.

każda najmniejsza szpara została w nas – pozatykana szmatami,
zabita gwoździami,
a niebo zasłonięte zgniłą tekturą. obtłuczony, cynowy księżyc
przewraca się na stole,
przy którym konsumujemy tajemnicę ubóstwa – porażkę czynu
i słowa, szeleszcząc
jak stare gazety, stos negatywów na szklanych płytkach – dziwnie
zabezpieczonych
przed czasem czyjąś troskliwą ręką, aby nie można było
rozpoznać wygasłego żaru.

z uroczystą powagą, z ceremonialną opieszałością, jak łądyżkę
kwiatu odsłaniamy
truchło – bo to uczucie ma sine ciało i ślepo otwarte oczy,
szywny kark, stare blizny
– niczym sieroty – w jałowej walce o godność – najgorsze minęło,
bardzo starannie

zatrzymane, odzwierciedlając obraz zrujnowanego wnętrza,
wyrwanych framug.

teraz gorzej słyszymy, chodzimy podpierając się laską, ukrywając
chwiejność kroków
w smutku tej samej barwy, dzieląc los flakoników, zużytych
narzędzi gwałtu – w czeluściach,
pękającej w szwach, torby lekarskiej, którą upuściło przed nami
życie – szybkie i jasne.

OKNO BEZ WIDOKU

w plastrze miodu wydrążony spokój. matka patrzy na morze
i szoruje słoik – poprzez melancholię – rdzewieją paznokcie,
na szybie płowieje motyl, zachodzi szronem przy skroni. nocą
powracają fale. tłuką się puste talerze. na stole leżą martwe ptaki,
które trzeba skubać, aż ciepła krew zaleje firankę. zasłoni stratę,
w bólu urodzi się słońce – śmiech dzieci na plaży.

PO TAMTEJ STRONIE NIE WSCHODZI SŁOŃCE

salowa ma ładnie upięte włosy, pośpiech na twarzy.
czy to się nigdy nie skończy? puszcza pod nosem. jest maj,
właśnie zaczął się sezon na nieświadomych dawców życia –
organów z recydingu. mówili, *przejechał pociąg* – między
zebrami,
trze o druty w kościach, w mojej kończynie tor znalazł odnogę,
ślepy zautek? trudno o większą precyzję – cięcia,
gdy gasną światła, wciąż lecą iskry, ale ciemność zwycięża.
łapie nas w garść jak wróble, siadające na liniach wysokiego
napięcia.
na śniadanie zaledwie jedno jajko, nie wykluję zbawienia, będzie
rosło
w ustach, bo ból przekłuwa się w okrągłe dźwięki, przykrywa
poplamionym prześcieradłem. przewijana jak niemowlę – modłę
się,
o następną kroplę – błogosławiony, dobry brat Kain – *killer of*
pain,
choć limitowany, jak nikotyna w windzie, między noszami,
kliszami
a zmianą wyciągu, bynajmniej nie narciarskiego, pożegnałam
tamtych,
choć wciąż ślą esemesy, kolejne stacje wracają z brzękiem
narzędzi,
wtedy budzę się jak zombi, ściskając w dłoniach kraty udaję,
że to dalej sen – krąg ostrych oczu wokół mojego łóżka,
wieczność wyżej wyją otwarte okna.

PROCES TWORZENIA

najpierw jest lęk. szczątki ptaka
rozkładają się w ogrodzie, słońce głaszcze kości.
szukam siebie pośród pożółkłych kartek, resztek
z przeznaczeniem. zdejmuję wieko, wypuszczam tlen.
żółć w jelitach i w oczach, patrzę:
jesień barwi liście. gdy przechodzi
w czerwień, robi się pozornie cieplej – farba
schnie podobnie. na skroniach pojawia się srebrny nalot,
szarpie frędzle starej firanki. potem przyjdzie mróz i zetnie,
to co zostało. przez sen biegnę brzegiem zamarznętej rzeki,
chwytam za jasne kędziorki – dziewczynka znika pod lodem,
powtarzając: *będę wodą, będę tobą.*

próbuję odnaleźć się między słowami, pamiętając blask
w jej oczach. muśnięcie światła na dłoni.
szukam miejsca, gdzie mogłabym wyciąć przerebel,
spuścić nić, zakotwiczyć się w głębi.
w końcu rozwarstwia się cień, barwy pochodne
zmieniają nasycenie. bledną, ale nie ma pewności
po której stronie płótna – wcieram werniks –
lód pęka jak muszla. zmienia się tworzywo,
wchłaniania ustrojowe płyny. odwilż
pozwala rzeźbić w błocie,
jakby to było czyste złoto.

KATARZYNA ZYCHŁA
godło: „pinacolada”

wyróżnienie w dziedzinie poezji



KATARZYNA ZYCHŁA – autorka książek dla dzieci, młodzieży i dorosłych. Laureatka wielu ogólnopolskich i międzynarodowych konkursów poetyckich.

PRZETRWAJNIKI

dzisiaj można wszystko; chodzić po wodzie, po śniegu.
zaciągać się dymem, bólem, histerią, ciszą aż płuca
zaczną piec tak bardzo, jak w ostatnim stadium raka.
można zaciągnąć się bielą po końce paznokci, lecz
one siwieją szybciej niż reszta ciała. ciemnieją na
obrzeżach w szare półksiężycy.

mieszanie temperatur wyzwala niepokojące reakcje
organizmu. mniej słów. cząstki elementarne wirują
jak zmrożone liście. język łowi znaczenia. raz jest
kozłem pokonującym strome zbocza, innym razem
chowa się w głąb, drży. zwyczajnie nie ma czasu
na zdrapywanie pleśni, odnawianie ścian.

jest więcej chodzenia na palcach, zamykania okien
i drzwi. mniej zaglądania do szuflad. miarowe
tykanie stało się środkiem nasennym. drzewo, które
od lat obejmowało cieniem dom, choruje. gubi
chęć do życia. oddaje za darmo liście, soki, myśli.
sny pustoszeją niezauważalnie. ubywa błękitu.

słaba herbata rozpycha żyły. park podkrada się bliżej
serca, gdzie już ławka i gołąb z podkurczoną nóżką.
kamień rozdarty tęsknotą. tego nie będzie widać na zdjęciu.
podobnie jak martwej gąsienicy, oswojonej wiewiórki.
tylko nikły cień palca, który dotyka dojrzałej pomarańczy
słońca w zenicie śmierci.

URODZISZ CÓRKĘ. NADASZ JEJ IMIĘ

jesteś jak młoda sosna. pachniesz
siłą. obejmuję twoje istnienie. jesteś
otwartą muszlą, perłą czystą. ostrożnie
oswajam każdy dźwięk, spojrzenie. cud
ma wiele imion. nie będziemy biegać
po wodzie, rozmnażać chleba i ryb –

tylko ukorzeniać marzenia. lepić z mąki
wszystkowiedzące anioły. jesteś
grudniową bielą. rozpuszczasz się kroplą
nocy. twój zapach zostaje
jak zapach dymu z ognisk, deszcz,
po długim okresie suszy –

nie chcę oddać cię światu.
odchodzisz sama. pępowina wysycha
z kolejnymi urodzinami. przerastasz
o kolejną wiosnę, pakt o zawieszeniu
bronni. wszystkowiedzące anioły z mąki
już cię nie strzegą. wolisz inny kolor –

patrzac na ciebie czuję przyływ oceanów,
gdy jeszcze nie było nic, prócz ciszy,
w której dryfowały słowa. urodziłaś się
ze słów. z zieleni. z wszystkiego, co nazywam
tajemnicą. miłość ma postać anioła z mąki.
niebieskiej mąki i śniegu –

jesteś gałązką leszczyny. zapisuję
w notatniku codziennym. miłość ma
kształt listka w którym każdy nerw
pulsuje z niepokoju.

RECYKLING LOVE

nie będziesz mnie kochał. ja nie będę kochała ciebie.
zawrzemy układ. trochę gwiazd, wina, muzyki. może nawet
wyjście do kina. reszta dekoracji zbędna. będziesz mnie
dotykał. ja będę dotykała ciebie. lecz nie otworzy się
niebo i nie zadrży ziemia. jesteśmy z łatwopalnego tworzywa.
nie będziesz za mną tęsknił. ja nie będę tęskniła za tobą.

czyż wypełniają się puste miejsca po długich pocałunkach,
przytuleniach, szeptach nocy? blizny przy torach zarastają
trawą, brzegi rzek wiążą wikliny. miejsca po dotyku parują
ciepłem. ciepło rozchodzi się w powietrzu, traci moc. chłód
jest przeznaczeniem, ostatnim wersem zamykającym pewien
rozdział. nie będziesz patrzył jak wsiadam do pociągu.

nie będę czekała przy oknie. żadnym. nigdzie. zbyt szybkie
kartkowanie dni wyzwala przyspieszony puls. zimna kawa,
papieros, mapa odlotów. jesteśmy z łatwopalnego tworzywa.
byle iskra spala nas na popiół. z popiołu są miasta, mosty,
budki telefoniczne. szelest papieru dotyka szorstko, zdziera
tłankę milczenia. do krwi. słowo wnika. zostaje drzazgą pod.

SENIOR LIFE

tyle narosło w nas rozpacz. jak mchu, który
wytłumił krzyk, złagodził rysy. przechodzimy
przez kolejne godziny snu płynnie, jakbyśmy
byli kuleczkami rtęci. po omacku rozpoznajemy
każde ze słów. budujemy z nich jaskinię bez
okien, bez drzwi. oblepiamy żywicą wspomnień.
wzmacniamy powtórzeniami, by nie zapomnieć
drogi do toalety, do kuchni, na balkon.

czasem odwiedzają nas młode ptaki. dziobią
po okruchu niedzielne ciasto. patrzą nie wprost.
ponad nasze niedowidzące oczy i niedosłyszające uszy.
metafory uczuć są płytkie i mętne jak kałuże.
słaba herbata i jeszcze słabszy puls wzajemności.
po wszystkim popiół w ustach. papierowa laurka
bez podpisu. długie korytarze do wyjścia bez wyjścia.

tylko na zdjęciach wciąż ktoś kogoś kocha i przytula.
w tle biały ganek, krzew różany, fontanna. albo
przyjęcie urodzinowe. nieodkurzana radość przygasa
w świetle popołudniowego słońca. zamyka się kuta
brama. milknie mruczenie silników. tak co tydzień,
co miesiąc, co pół roku. reszta jest tylko milczeniem,
kamieniem rzuconym do ogrodu Boga.

DZIEWCZYNA W CZERWONYCH BUTACH
(kartka przedwigilijna)

mogłabym napisać list. to wydaje się takie śmieszne
jak pudel na kolanach wieśniaczki. szaleństwo polega
na udoskonalaniu marzeń. jestem dziewczyną miesiąca.
tego miesiąca, w którym dojrzewa głóg. drobię księżyc
na małe okruchy. wrzucam do jeziora. jezioro wie
wszystko prawie jak bóg.

prawie jak, zawsze robi różnicę pomiędzy aniołami
i kolekcjonerami wspomnień. było tak, zbieraliśmy
opakowania po czekoladkach. wymienialiśmy je
na puszki po coli. tamten świat słomianych mat
i winylowych płyt zostawił w nas posmak czasu
nieskażonego zawiścią.

mogłabym napisać list przy szeroko otwartym oknie.
schować do koperty zapach kasztanów. zieloność
wyzwała film. jestem dziewczyną roku. tego roku,
w którym mówiono o wojnie. ojciec patrolował wieś.
w dzień pił. cukierki wystane w długich kolejkach
rozpuszczały na języku strach.

mogłabym napisać list. czas nigdy nie będzie
po mojej stronie. ubiorę czerwone buty. (jest grudzień.)
pobiegnę przez pole. w tamtym miejscu wciąż rośnie głóg.
jestem awatarem. codziennie wymyślasz mi nowe imię.
z metafor zbudowany jest świat. smak pomarańczy
zamienia język w gorzką podróż.

KAROL GRACZYK
godło: „Ta sobota”



wyróżnienie w dziedzinie poezji

KAROL GRACZYK – urodził się w 1984 r. w Gorzowie Wielkopolskim. Uprawia poezję i prozę. Laureat i zwycięzca ponad stu konkursów literackich, m.in. im.: Jana Kulki, Zdzisława Morawskiego, Jana Śpiewaka i Anny Kamieńskiej, Michała Kajki, Haliny Poświatowskiej (dwukrotnie), Rafała Wojaczka, „O liść konwalii” im. Zbigniewa Herberta (dwukrotnie), Tadeusza Sułkowskiego, konkursu „O złote Pióro Sopotu”, „O złote Cygaro Wilhelma” oraz Wawrzynu Lubuskiego za książkę roku 2008. Teksty publikował m.in. we „Frazie”, „Obrzeżach”, „Twórczości”, „Arteriach”, „Akcencie”, „Tygłi Kultury”, „Nowej Okolicy Poetów”, „Odrze”, „Lampie”, „Śladzie”, „Toposie” i „Pograniczach”. Opublikował książki: „Oko i oko”, „Osiemdziesiąt cztery” oraz „Łowy”. Dwukrotny stypendysta Prezydenta Gorzowa Wielkopolskiego. Współorganizator Gorzowskiego Festiwalu Poetyckiego Wartal. Prowadził warsztaty poetyckie w Gorzowie Wielkopolskim, organizował spotkania z pisarzami i turnieje jednego wiersza. Jego wiersze zostały przetłumaczone na język angielski.

BEZPOWROTNIE UTRACONE ZIEMIE

Tej nocy, u podnóża gór, wyrósł las na utraconych ziemiach.
W centrum, na rynku, ludzie rozkładali używany towar,
kojarzony z dzieciństwem, który do niczego już się im nie przyda.
Nie myśleli, jak we śnie, że tylko dla nich ma wartość.

Turyści z wielkiego świata zaczęli kłębić się w okolicy,
jakby myśleli, że ten świat jest właśnie tutaj, że muszą
obejrzeć cerkiew i wschód słońca ze szczytami w tle.
Obcy nigdy nie zrozumieją miejsca, w którym się znaleźli,

tak jak my, wracając tu po latach, by sprzedać mieszkanie
opuszczone kiedyś nikt nie wie dlaczego i zatrzymane w czasie.
Zostawione jak stało, bez chwili sprzątnięcia, jak skarbnica wiedzy
o tym, co nie wróci. O nas, zupełnie innych, o tych, co odeszli.

O spokojnym dzieciństwie. I wtedy, kiedy palę, zamyślony w progu,
ojciec krzyczy *wejdź synu, nadciąga burza, synu, wejdź do domu.*

DEKAPITACJA

Karl Gröpler powstał z prochu, ale wyszedł
z głębin, kiedy pozwolono mu zostać katem
w czasie międzywojnia. Lecz prawo było słabe,
a państwo zbyt silne, żeby się nie bać
rabować i gwałcić, więc Karl klepał biedę

(płacono od głowy). Nasze drogi pozwalają nam
chodzić osobno, rzucił jeden z nielicznych,
tuż przed ścięciem głowy. W takie dni jak ten
kiedy z nieba leje się woda, tęsknię za tobą tak,
jakby koniec świata już dawno się wydarzył

(pomyślał Karl o ostatnim świętym). Jego duże dłonie
dotykały wierzchołków drzew odbitych w wodzie,
kiedy schylał się po półzgniłe owoce. W tej pozie
znaleźli go alianci, dali swoim katom, Karl umarł,

jak żył. Kat katowi katem.

21 GRAMÓW

*Jedyne zastosowanie czasu polega na tym,
że nie wszystko wydarza się naraz.*

Lot trzmiela jest niepewny, jeśli tuż przed zimą
wypełnie z doniczki leżącej na szafie. Zwiastuje
nieszczęście. To pewne, jak śmierć dwudniowych

piskląt, dziobanych przez srokę, po ucieczce starych,
zwłaszcza, gdy z litości wyrzucisz z piętra ich dygoczące
ciała (następnym nie pozwolimy się wykluć, to pewne).

Chwilę później stwierdzasz, że kot tuż po śmierci
jest cięższy niż żywy, więc pewnie nie ma duszy.
Babci nie ważysz, pozostaje wiara, że po drugiej stronie

nie będzie się męczyć, a kiedy ciężar dusz tych,
którzy cię obeszli, będzie większy, niż twój
w dniu urodzin, dołączysz do nich, jakby czas

nie istniał.

GRANICE MIASTA

Ciało jest miastem, miasto jest ciałem.
Kto pomieszkiwał w naszych dzielnicach,
dawno zapomniał nazw pobliskich ulic,
lecz nie dlatego, że ich nie pamięta.

Pod mostem płynie sucha ciemna rzeka.
Z uła na brzegu wypełza stara pszczoła,
na chwilę przed śmiercią, by jej nie dzielić
z towarzyszami, lecz nie dlatego, że lubi

samotność. Trudno jest żyć, trudno jest umierać.
Pobliski dworzec wyciska z wagonów
ostatnie krople tłumy. Ta trasa była nasza.
Dokąd idzie miłość kiedy stąd odchodzi?

JOHN DOE

Możesz wyciągnąć chłopca z getta, ale nigdy getto z chłopca
napis z przejścia podziemnego w Rosengard

Wiele dziwnych wieczorów przyszło mi w udziale,
lecz był taki jeden, który pamiętam szczególnie.
Którędy umierałeś John (bo dokąd – wiadomo),
czołgając się po podłodze z krwawą raną w brzuchu?

Mięta stała na parapecie bez ruchu, nikt jej nie trącał,
nikt o niej nie pamiętał, kiedy sznur ognia ciągnął się
w powietrzu, jakby leciał wcześniej wyznaczonym kursem.
Płonąłeś wtedy martwy w domu z raną postrzałową.

Kim byłeś John, nim cię zastrzeliłem? Pewnie, jak każdy,
zrywałeś kwiaty z sukien zakochanych panien i głaskałeś koty.
Teraz wiesz, jak to jest być po drugiej stronie lustra.
Wspomnienia, plany, klisze – zostaje po nich pustka.

IDA SIECIECHOWICZ

godło: „Free funk po północy”

wyróżnienie drukiem w dziedzinie
poezji



IDA SIECIECHOWICZ – wykładowca, tłumaczka, konsultantka języka angielskiego w Komisji Nadzoru Finansowego na Giełdzie Papierów Wartościowych. Ukończyła filologię angielską na Uniwersytecie Wrocławskim i psycholingwistykę na Uniwersytecie Londyńskim. Debiutowała w konkursie poetyckim organizowanym przez „Gazetę Białostocką”. Wyróżniona w XX edycji „Krajobrazów Słowa”.

W ZBIORACH ZNALEZIONYCH NA ZIMNYCH PŁASZCZYZNACH

I

I będę stał w windzie, podjeżdżając pod. I coraz to. Będą jedyne sekundy mierzone przez. *Fright, fight, flight!* Będę podążał w kierunku wskazanym przez strzałki. Wbijał w pole widzenia ostre końce. Stare kobiety w tanich kaloszach będą czekać na wiosenną odwilż. Samotni starcy przekażą mieszkania producentom wiagry. Spojrzę na liczby. Będą potwierdzać same siebie. Chłód przebiję dachy i przyrośnie do żeber. Otwarte miasto nie spoufali się z przypadkowym przechodniem. Będzie ludzić drobne kroki wielkim echem. Po kryjomu. Zgarzę proch rozszeptany przez zatrzymanych ludzi. Otworzę roztrzęsione furta. Przed. Wystawię dom. A będzie ciemno. Nad portem rudy, gdzie dalej kopią.

7/11/2014

W ZBIORACH ZNALEZIONYCH NA ZIMNYCH PŁASZCZYZNACH

II

Łokieć miałem wyostrzony. Ponadto po nocy. Nastawiony przed świtem. Wbity w ranek. Chłopcy z fabryki przyjeżdżali samochodami. Narastało powoli. To był gorący strumień. Brał niespodziewanie w ostrzał. Domy wywożono osobno przed plac. Ulice padały ścięte. Na obrzeżach. *Cittaslow*. Gdzie nas zabierano? Leżały rozdrapane cienie. Pod warstwą nieprzełamanych zmroków. Konie usypiały stojąc. Trawa twardniała trwale. Co pamiętasz? Może mieć kod kreskowy poza niewymowność przerwane go ciągu. Nakłuwaliśmy przestrzeń. Gwoździe godziły grdyki. *Lull, baby, lull!* Na szagrynowych szadziach bernikle krzyczą przed snem.

20/9/2014

III

Matki nasze. Jakby nie było. Nie rozgrzawały nas przemoczoną pieluchą. Wydawałem uczucia bez pokwitowań. Wydarte wojłoki wrastały w tłum. Transport ciągnął nieograniczony. Ciąg przechodził w ciągłość. Ciągłość pociągała nas. Zgodnie z tym. Słyszałem jak nieruchomiały łopaty. Pola nurzały. Sprzed lat rozłożone ciała. Pokazywaliśmy sobie wszystko. Po przelewie bolców i brył w scalone powierzchnie. Z nadzieją. Że tamci, w nieotwartych łonach, będą na to patrzeć. Flesz rozdrapywał jasność. Poznawałem podagrę po pogiętym pazurze. Czy to właśnie tak? Warzył się czas. A ważył ciężko. Nad brodorosłym brodem. Kazuary nie rozskrzydlały się wcale. Zauważyłem. A był to bezwiedny akt.

22/10/2014

W ZBIORACH ZNALEZIONYCH NA ZIMNYCH PŁASZCZYZNACH

IV

Tak szli. Wbijając mocne spojrzenia. Czasem natrafiali na gniazda. Nie wytrzymałem dłużej. Od wczesnych godzin dziewczyny rozkręcały wymasowane biodra. I smutniały w opuszczonych oczach. Trakt był nieodwracalnie sypki. Przekopy zażwirowane. Ciężar ciążył. Co robiliśmy z ziemią? Którą wrzucałeś do rowu? Co w nas pękało jak w zimnych kamieniach? Z czasem. Pomyślałem. Coraz mniej widać. Z bliska od zawsze napędzała nas krew. Mężczyźni biegali z logo na ramieniu. Kobiety przyciskały pudła do obnażonych skór. Kogoś odpychano na bok. *Sunday, Bloody, Sunday!* Bóg cierpiał od środy. Gdy posypano popiołem. Winy wyświetlono w zekranizowanych formatach. Na żywo. Z falującymi wewnątrz ludźmi. Płonęły rozjarzone centra handlowe.

24/5/2012

W ZBIORACH ZNALEZIONYCH NA ZIMNYCH PŁASZCZYZNACH

V

A dzisiaj? Śnieg jest zżarty chłonną solą. Góry rosną na mikromilimetr. Las jest rzadko mocniej w głębi. Kręty zasiek. Nieoszalowane schody. Na stromiźnie. Ziąb zimuje srogo. Graal się wznosi ponad. Ludzie idą wzdłuż. Jak zręczne są ścieżki? Jak wyraźnie razi wstrząs? Na okablowanym obrazie zlewamy światłoelementy. Aby czuć, że jesteśmy tam, gdzie nas nie ma. Przestrzeń zamyka wiele. Lęk nie dochodzi do. W gruncie rzeczy. Ciemniej ciemni w ślepej skale. Miał mieli mozolnie. Czy to jakby wtedy? Kto mógł podnieść przysunięty głaz? Jakiś przechodzący chłop. Hiob. *What?* Czy jest dowód na istnienie boga? Ostatecznie jest. Milczący.

23/11/2014

SPIS TREŚCI

Karol Maliszewski	–	<i>Z dziennika jurora</i>	5
Krzysztof Bąk	–	godło: „Pan Koguto”	7
Justyna Kuczun	–	godło: „Ave”	23
Miłosz Anabell	–	godło: „Loko”	33
Alfred Siatecki	–	godło: „Różga”	45
Marzena Tyl	–	godło: „Pizzicato”	57
Anna Kokot	–	godło: „Santa Fe”	73
Genowefa Światłoń	–	godło: „Ochodzita”	85
Maciej Zdziarski	–	godło: „Obserwator ptaków”	97
Dorota Ryst	–	godło: „etażerka”	105
Katarzyna Kowalewska	–	godło: „Brzytwa”	113
Katarzyna Zychla	–	godło: „pinacolada”	123
Karol Graczyk	–	godło: „Ta sobota”	131
Ida Sieciechowicz	–	godło: „Free funk po północy”	139

Sponsor „Krajobrazów Słowa” od 2004 roku



Firma wykonuje usługi w zakresie:

- wykonawstwa projektów elektrycznych, elektroenergetycznych i nadzorów,
- instalacji elektrycznych (nowe, modernizacje, remonty),
- linii elektroenergetycznych (kablowe, napowietrzne),
- rozdzielni elektrycznych,
- montażu maszyn i aparatów elektrycznych,
- pomiarów elektrycznych, instalacji odgromowych,
- linii i instalacji teletechnicznych,
- instalacji TV,
- instalacji logicznych (komputerowych),
- instalacji domofonowych,
- przecisków wykonywanych urządzeniem typu KRET,
- wszelkich prac budowlanych związanych z wykonywaniem prac w ww. punktach.

Sponsor „Krajobrazów Słowa” od 2000 roku



**MIEJSKIE WODOCIĄGI
i KANALIZACJA** w Kędzierzynie-Koźlu
Spółka z o.o.

47-200 Kędzierzyn-Koźle ul. Filtrowa 14

**Miejskie Wodociągi i Kanalizacja
w Kędzierzynie-Koźlu Sp. z o.o.
47-200 Kędzierzyn-Koźle,
ul. Filtrowa 14**

tel. 77 480 13 00, fax 77 480 13 23

**e-mail: mwik@mwik.com.pl
www.mwik.com.pl**



Petrochemia-Blachownia S.A.

Member of Wanhua - BorsodChem Group

ul. Szkolna 15

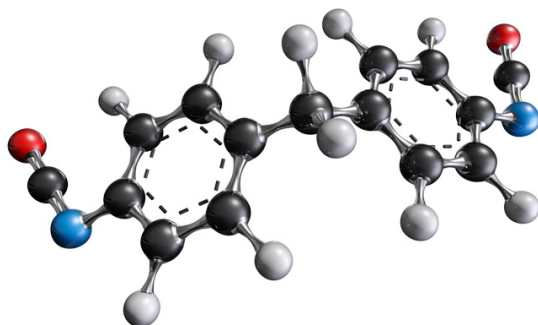
47-225 Kędzierzyn-Koźle

tel.: +48-77 488 68 01

fax: +48-77 488 67 21

petrochemiakk@petrochemia-bl.com.pl

www.borsodchem-pl.com



XXII
KONKURS
LITERACKI
2015



Jurorzy otworzyli się
na coś mniej wziętego
i modnego, na języki
i gesty biorące swą siłę
z peryferyjności
i autsajderstwa.
Wygrało to,
co można określić
mianem „poszukującego”
bądź „nieoczywistego”.
Moim zdaniem, właśnie
od tego są dobre
konkursy literackie.
Od werdyktów pod prąd.
Od przeciwstawiania się
poetyckiej łatwiznie
i sezonowej modzie.

[ze wstępu]

